NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. | Kraków, 13 czerwca 1908. | Nr. 24.

Zamach w paryskim Panteonie.

(Treść na str. 2



Od Redakcyi.

Następny numer (25) „Nowości illustrowanych" poświęcony będzie w przeważnej części jubileuszowi Monarchy Austro-Węgier, cesarza Franciszka Józefa I. i zawierać będzie szereg interesujących zdjęć z pochodu jubileuszowego w Wiedniu, ze szczególnem uwzględnieniem grup polskich.

Numer ten ukaże się z powodu przypadającego we czwartek 18 b. m. święta Bożego Ciała, już w środę wieczór.

Zamach w paryskim Panteonie.

(Do illustracyi tytułowej).

W historyi ostatnich lat rzeczypospolitej francuskiej, dwa nazwiska zdobyły sobie szczególnie wielki rozgłos: Emil Zola, jeden z największych pisarzy współczesnych i Alfred Dreyfuss, oficer armii francuskiej, którego afera szpiegowska przez długi czas stanowiła przedmiot namiętnych dyskusyi. A że Zola należał do najgorliwszych protektorów oskarżonego oficera, że walczył gorąco w jego obronie, narażając się tem na niepopularność w nacyonalistycznych sferach francuskich, więc oba te głośne nazwiska zrosły się niejako ze sobą.



Sprzysiężenie w Czarnogórze: Książe Czarnogóry Mikołaj.

I oto znowu nazwiska Zoli i Dreyfussa zajmują dziś opinię świata. Przyczyną tego stał się sensacyjny wypadek podczas przeniesienia zwłok Zoli z cmentarza Montmartre do Panteonu paryskiego.

Uroczystość ta odbyła się w ubiegłym tygodniu, przy udziale olbrzymich tłumów publiczności oraz rządowych sfer Francyi, z prezydentem Fallieres'em na czele. Zjawili się też nacyonaliści i monarchiści w pokaźnej liczbie, skutkiem czego przyszło zaraz z początku do burzliwych demonstracyj. Okrzyki „precz z Zolą", „precz z rzeczpospolitą" górowały nad tonami orkiestry, wygrywającej Marsyliankę.

Najgłośniej jednak ozwały się demonstracyjne okrzyki w chwili, gdy na podwyższeniu ukazał się tuż za prezydentem major Dreyfuss w otoczeniu swej rodziny. Wśród hałasu i donośnych okrzyków rozległ się nadto odgłos dwu strzałów rewolwerowych. Strzały te wymierzone były ku Dreyfussowi, który jednym z nich ugodzonym został w ramię i odniósł nieznaczną ranę.

Zamach na Dreyfussa wywołał oczywiście olbrzymie wrażenie, zwłaszcza gdy okazało się, iż strzały padły nie z ręki szaleńca lub osobistego wroga, lecz z ręki nacyonalistycznego dziennikarza, Gregory'ego. Aresztowano go niezwłocznie i odstawiono do więzienia, gdzie zeznał podczas przesłuchania, iż czyn swój spełnił z całą świadomością, chciał bowiem zaprotestować przeciw udziałowi armii w uroczystości na cześć Zoli i pomścić obelgi, jakiemi zmarły literat obrzucił armię republikańską.

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia chwilę zamachu Gregory'ego na Dreyfussa, ponadto zamieszczamy szereg zdjęć z uroczystości przeniesienia zwłok Zoli oraz z zamachu.



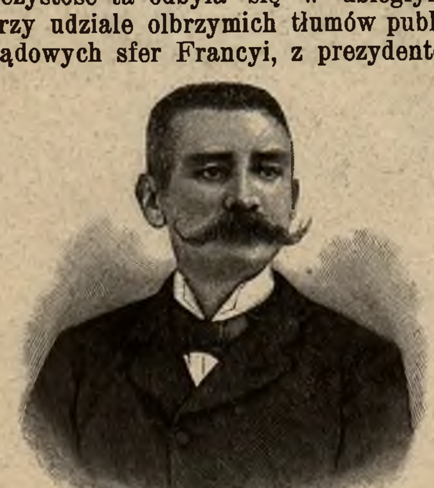
Sprzysiężenie w Czarnogórze: Trybunał, prowadzący rozprawę.

Sprzysiężenie w Czarnogórze.

W Cetynii, maleńkiej stolicy księstewka Czarnogórskiego, toczy się od kilkunastu dni sensacyjny proces polityczny o zbrodnię sprzysiężenia przeciw panującemu domowi.

Sfery rządowe czarnogórskie przypisują procesowi temu wielkie znaczenie, wskutek też tego rozprawy sądowe odbywają się w niezwykle uroczysty sposób. Sędziowie zjawiają się na posiedzeniach we wspaniałych strojach narodowych, bogato wyszywanych srebrem i złotem, więźniów wprowadza silna eskorta uzbrojonych żołnierzy. Przed stołem prezydenta złożono między dwiema świecami ewangelię bogato oprawną, wyjętą na ten cel z biblioteki księcia. Obok na stoliku znajdują się bomby i waliza, w której je przewieziono, jako „corpus delicti".

Według aktu oskarżenia trybunał rozpatrywać ma sprawę zamachu na członków domu książęcego, przygotowywanego w Serbii przez zabójców króla Aleksandra. Morderstwa tego postanowiono dokonać celem usunięcia prawnych władców Czarnogóry i pozyskania tronu książęcego dla syna serbskiego władcy. W ten sposób chciano przyłączyć Czarnogórę do Serbii. Prawdziwość tych oskarżeń potwierdził jeden ze świadków, dziennikarz bośniacki, student uniwersytetu wiedeńskiego Nasticz, który zeznał, że bomby skonfiskowane w Czarnogórze zostały sporządzone w arsenale serbskiej artyleryi w Kragujewaczu przez serbskich oficerów, na rozkaz serbskiego następcy tronu. Nasticza bowiem, który przebywał pewien czas w Serbii, uprosili zaufani króla Piotra, by udał się do arsenału, dozorował fabrykacyi bomb i na-



Sprzysiężenie w Czarnogórze Król serbski Piotr I.



Zamach w paryskim Panteonie: Ekshumacya zwłok Zoli na cmentarzu Montmartre.

uczył ich rzucania. Zeznania swe Nasticz poparł rysunkami, oraz podaniem składu materyi wybuchowych. Bomby te przewieźli do Czarnogóry urzędnicy serbscy, którzy przed odjazdem byli przyjęci na audyencyi przez króla Piotra.

Zeznania Nasticza rzucają jaskrawe światło na stosunki w Serbii i na charakter jej króla, który doszedłszy do władzy przez morderstwo, w podobnie krwawy sposób chce zdobyć nowe trony dla swych synów.

Tajemnicze morderstwo.

Niezwykłe zaciekawienie wzbudziło w całem świecie tajemnicze morderstwo, dokonane w Paryżu przed tygodniem na osobach znanego malarza francuskiego, Adolfa Steinheila i teściowej jego, pani Japy. Sądząc z zewnętrznych oznak, morderstwo to popełniono dla rabunku, skradziono bowiem zamordowanemu przeszło siedm tysięcy franków, opinia jednak publiczna dopatruje się w zbrodni pobudek erotycznych a nawet i politycznych.

Rodzina pani Japy pozostawała w zażyłych stosunkach z b. prezydentem Francyi, Feliksem Faure'm, którego portrety Steinheil malował kilka razy, a za obraz, przedstawiający prezydenta na manewrach w Alpach, otrzymał order legii honorowej.

Morderstwo to popełniono istotnie wśród niezwykłych warunków, które sprawę całą bardzo zaciemniają. Służący Steinheilów zastał przed kilku dniami rano o godzinie szóstej pana swego i jego teściową, która przybyła poprzedniego dnia w odwiedziny do córki, zaduszonych sznurkami; pani Steinheilowa leżała związana na łóżku z ustami zatkanemi watą. Opowiada ona, iż zbudziwszy się w nocy, ujrzała przed sobą trzech mężczyzn i jedną kobietę o rudych włosach, którzy ją związali sznurami, a następnie wymusili groźbą śmierci wydanie pieniędzy.

Rozpoczęte natychmiast śledztwo odkryło już kilka ciemnych punktów w tajemniczej sprawie, na ślad zbrodniarzy jednak dotąd nie naprowadziło.

Krąży wśród osób, bliżej tę historyę znających, zdanie, że zbrodniarzom nie chodziło bynajmniej o rabunek, a raczej o wydostanie listów prezydenta Faure'a, które Steinheil posiadał. Wykaże to może dalsze śledztwo, które prowadzą najtęższi ajenci paryscy.



Zamach w Panteonie: Major Dreyfuss, zraniony strzałem rewolwerowym, w otoczeniu przyjaciół.



Zamach w Panteonie Sprawca zamachu Gregory w drodze do urzędu policyjnego.



Zamach w Panteonie: Pani Zola, wysiadająca z samochodu przed Panteonem.

Eksplozya w fabryce celluloidu w Wiedniu.

W wigilię niemal radosnych uroczystości jubileuszowych wydarzyła się w Wiedniu straszliwa katastrofa, wydarzyło się nieszczęście, jakiego kroniki tamtejsze nie notowały od kilku dziesiątek lat. Dziewiętnaście osób straciło przy tem życie, a przeszło dwadzieścia odniosło ciężkie uszkodzenia. A z gruzów spalonego gmachu, a z pośród zniekształconych płomieniami trupów, płynie żałosna skarga nieszczęsnych przeciw tym, którzy ponoszą winę tragicznej katastrofy, którzy ją lekkomyślnością i niesumiennością spowodowali.

Katastrofa ta wydarzyła się w ubiegłą sobotę przedpołudniem w fabryce celluloidu pod firmą braci Sailerów, przy ulicy Roseggera l. 16, w dzielnicy Ottakring. Z jakiej przyczyny nastąpił wybuch, na razie śledztwo nie wyjaśniło. Że jednak przy fabrykacyi tego materyału nie zachowywano tam należytych środków ostrożności, że życie pracujących w tej fabryce robotników narażano lekkomyślnie na niebezpieczeństwo, wynika z rozmiarów katastrofy, wynika z niemożliwości ratunku, wynika wreszcie i z tego, że władze miejscowe niejednokrotnie polecały właścicielom fabryki przeprowadzenie rozmaitych zmian w wewnętrznych urządzeniach.

Była godzina 11 przedpołudniem, gdy w obrębie fabryki dał się słyszeć straszny huk, jakby kilku równocześnie wybuchających bomb. Bezpośrednio potem buchnęły z wnętrza gmachu potężne płomienie i objęły w mgnieniu oka cały budynek. Była to chwila pełna grozy i majestatu. Z odgłosem ponawiających się co chwila wybuchów celluloidu, mięszał się trzask pękającego drzewa i brzęk tłuczonych szyb, a ponad tem górował wstrząsający okrzyk przerażenia i jęk rannych, zamkniętych bez nadziei ratunku w ubikacyach fabryki.

Dobrą chwilę trwało, zanim na miejscu strasznej katastrofy zjawiły się straże pożarne i towarzystwa ratunkowe. Budynku oczywiście ocalić nie zdołano ani nagromadzonych w jego wnętrzu zapasów rozmaitych materyałów, pracowano tylko z wytężeniem nad zlokalizowaniem pożaru i ocaleniem bodaj części personalu.



Tajemnicze morderstwo: Adolf Steinheil.

Niemniej straciło życie 19 osób, w tem kilkoro dziewcząt kilkunastoletnich, a przeszło 20 osób odniosło lżejsze lub cięższe rany. Zwłoki wielu robotników i robotnic były tak strasznie popalone, iż tylko z trudem zdołano je rozpoznać. Rozgrywały się przytem sceny pełne tragizmu, gdy żony

i matki odnajdywały wśród trupów swych najbliższych, najbardziej ukochanych.

Tragedya w Ottakringu wywołała w całym



Tajemnicze morderstwo: Małgorzata Steinheilowa.

Wiedniu ogromne wrażenie i współczucie dla nieszczęsnych ofiar katastrofy.

Nawrócony przed śmiercią.

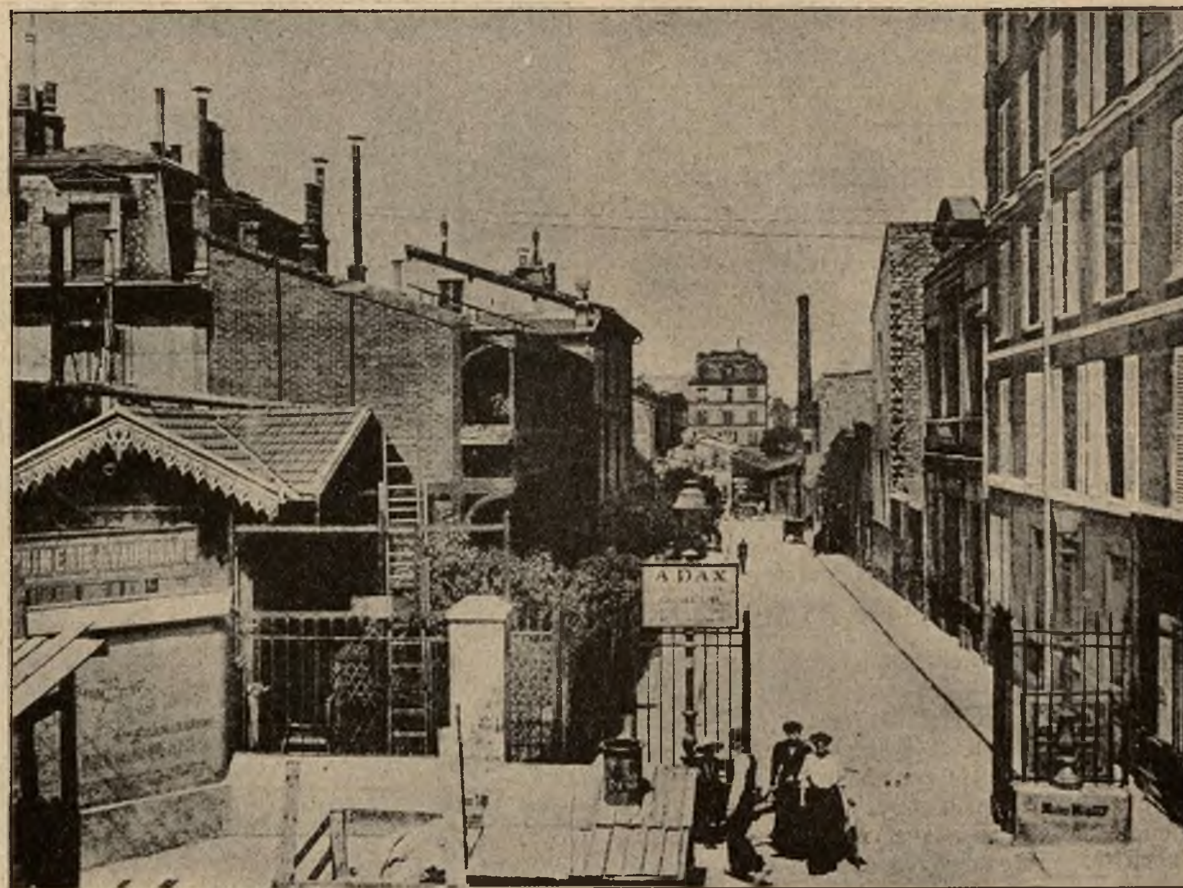
Dość często zdarza się, iż ludzie chorzy, przeczuwając nadchodzący koniec życia, zmieniają w ostatniej chwili wyznanie wiary, a czynią to pod wpływem bądź rodziny, bądź własnego przekonania.

Do rzadszych natomiast wypadków zaliczyć należy przejście prawosławnego w godzinę śmierci na religię rzymsko-katolicką, co — jak donoszą pisma warszawskie — wydarzyło się tam niedawno.

W tych dniach umarł w Warszawie znany szerokim kołom wychowańców uniwersytetu warszawskiego, długoletni woźny tegoż uniwersytetu, Gubarew.

Przed samą śmiercią przyjął Gubarew religię rzymsko-katolicką i prosił, ażeby go pochowano na cmentarzu Powązkowskim.

W ostatniej jednak chwili, jak donoszą pisma warszawskie, wyszło rozporządzenie, ażeby Gubarewa pochować na cmentarzu prawosławnym Wolskim, co też zostało dokonanem.



Tajemnicze morderstwo: Ulica de Vaugirard, przy której leży willa Steinhalla, miejsce zbrodni.



Eksplozya w fabryce celluloidu w Wiedniu: Ruiny fabryki w kilka godzin po wybuchu.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

30

(Dokończenie).

Wieczorem spotkawszy się z nim, rozmawiała jak dawniej tonem łagodnym, wesołym, pełnym słodyczy i dobroci, gdyż widząc jego apatyę i smutek, poczuła współczucie, lecz gdy on tem złudzony, wspomniał o swej miłości, powiedziała dość szorstko:

— Umarłych nie rusza się w grobie.

Nazajutrz rano przeprowadziła się na swe dawne mieszkanie.

Lerche został na wsi jeszcze przez kilka dni, łudząc się nadzieją, że postępowanie Janki wynikało jedynie z chwilowego rozdrażnienia, które wkrótce musi ustąpić.

Nie mógł w to uwierzyć, ażeby ona go nie kochała... wszakże żywo stały mu w pamięci owe słodkie chwile, kiedy czuł, że jest bliskim i drogim...

Prawda, że były to chwile niezbyt częste, ale w całym swoim stosunku do niego, ona zawsze była taka szczera, pełna tak bezwzględnej ufności.

Im więcej się zastanawiał, tem był pewniejszy, że Janka po namyśle zrozumie własną niesprawiedliwość względem niego, i wrócą dawne dobre czasy.

Janka była dla niego, przy widzeniu się, uprzejmą, dobrą, łagodną, ale przy każdej wzmiance o miłości, wyraz jej twarzy stawał się nieprzejednany i wrogi.

Wreszcie przyszedł do przekonania, że jej poprzednia miłość dla niego, jeśli istniała, była tylko chwilowym porywem, fantazyą, kaprysem i że u niej nie zostało we wspomnieniach nic więcej nad garstkę zimnych, brudnych popiołów.

Wyjechał ze silnem postanowieniem zapomnienia o niej i o przeżytej wiośnie.

Próżne były jednak usiłowania. Myśli i uczucia wracały uparcie do tej niedawnej przeszłości, rozpamiętywał szczegóły, lubował się w odtwarzaniu chwil przeżytych.

Czuł wokoło siebie pustkę, niedającą się niczem wypełnić, zdawało mu się, że jest w ciemnej, bezkresnej przestrzeni, z której niema wyjścia, gdy przedtem znajdował się w krainie światła, gdzie słońcem była mu ona.

Żarła go tęsknota, trawił głuchy, rozpaczliwy ból. Poczucie beznadziejności wzburzało jego silną, zdrową naturę, jego męską energię i zrywały mu się w duszy nawałnice gwałtowne, szalone.

Nie wiedział, co ze sobą począć, kędy się zwrócić, aby znaleść chwilę spokoju i ciszy, chwilę zapomnienia.

Zdawało mu się na razie, że praca go uratuje, ale pomiędzy wierszami, między kolumnami cyfr stawała twarz Janki, jej spojrzenie, uśmiech i zapatrzony zaprzestawał pracy.

Zobojętniał mu urząd, dyrektor, koledzy, cały świat.

Szukał zapomnienia w hałaśliwych zabawach, w teatrze, w cyrkach, w kolacyach, gdzie lał się szampan i rozbrzmiewały wesołe piosenki — i zawsze wracał z pustką w mózgu, z nudą i obrzydzeniem, bo w pamięci miał tylko ją, czystą, podniosłą, z piękną, czystą, szlachetną, niezwykłą duszą.

I zaczął pić.

Ale na dnie każdego kieliszka znajdował żal i rozpacz.

Napróżno obniżał ją w swych oczach i przywodził sobie na dowód, że ona od początku samego kłamała przed nim miłość, że pozwalała się całować i ściskać, gdy on budził w niej wstręt; uśmiechała się i udawała szczęśliwą, gdy w niej szalały wrogie, nieprzejednane uczucia. Wszystko więc było w niej fałszem, nic szczerego, nic prawdziwego.

Starał się ją znienawidzieć, obudzić w sobie wstręt do niej i napróżno. Zawsze wracała piękna, ponętna, z duszą niepowszednią i... kochał ją jak dawniej.

Wśród tego męczącego życia, zelektryzowała go konieczność pojechania do Horyni w sprawach służbowych.

Ujrzał Jankę w kasie biletowej, pobladłą, mizerną, ale zawsze równie dumną i nieprzystępną. Sztywne i odmierzone przywitanie się, rozmowa banalna i zdawkowa, sprawiły mu wielki ból, od którego czuł się niemal pijanym, a chcąc dopełnić goryczy, pojechał do samotnego domku w lesie położonym.

Pozwolił rozmyślnie szaleć uczuciom i wspomnieniom, nie kładąc im żadnej tamy i zmęczony, znękany, ujrzał wreszcie przed sobą ratunek i ukojenie...

Zabłysła mu myśl śmierci, snu bez przebudzenia, spokoju bez przerwy, ciszy bez zamącenia.

Spokojny już wrócił na stacyę, zapragnął tylko pożegnać się z Janką. Spotkał ją i po zamianie kilku słów, powiedział serdecznym i rzewnym tonem:

— Nie mogę was zapomnieć... obawiałem się przyjechać tutaj, ażeby bardziej się nie rozżalać... tymczasem tu znalazłem ukojenie.

Czuł się dziwnie podnieconym, prawie wesołym i mówił z uśmiechem przyjaznym.

Ona spojrzała na niego, jak przebudzona ze snu, patrzała mu w oczy przez chwilę, a potem chmurząc się, rzekła głosem, w którym brzmiała gorycz:

— Jeśli pan chce dopełnić swej krzywdy i zaciążyć na mem i tak ciężkiem życiu jeszcze bardziej, niech pan popełni samobójstwo, to będzie koroną jego miłości i poświęcenia dla mnie — uśmiechnęła się z ironią.

Patrzał na nią z ogromnem zdziwieniem, że odgadła jego zamiar, a następnie uczuł wielki żal i gorycz do niej za te jej słowa.

— Do waszych zalet — mówił po chwili — dodajecie jeszcze okrucieństwo, bo i co wam na mnie zależy? Dlaczego chcecie mi uniemożliwić jedyną drogę wyjścia?... Nie mogę żyć bez was dłużej...

— Czy sądzicie, że ja stąpam po kwiatach? — zawołała Janka z mimowolnym żalem — ale uczciwy człowiek ponosi następstwa swego czynu i nie ratuje się podłą ucieczką.

— Mam już dosyć tych następstw — mruknął chmurny.

— I tchórzycie! — zadrwiła Janka. Na głupiej miłości nie kończy się przecież świat i człowiek. Pracujcie społecznie, a zyskacie zadowolenie.

— Teorya bez znaczenia — zaśmiał się z goryczą.

— Zresztą wszystko mi jedno — powiedziała obojętnie Janka — tylko dajcie mi słowo, że samobójstwa nie popełnicie — a widząc wciąż jakąś rozpaczliwą, mocną zaciętość w jego twarzy, dodała słodkim głosem prośby: — jeśli mnie kochaliście szczerze, nie odmówicie mi tego słowa... Ludwiku, proszę cię...

To odwołanie się do przeszłości, ton jej głosu, rozczuliły go bardzo i po krótkiem wahaniu, rzekł dobitnie:

— Daję wam nowy dowód miłości i nie zginę samowolnie.

— Słowo?

Podał rękę na dowód prawdy i zgody.

— Jesteście dobrzy i kochani — powiedziała cicho z przyjaznym uśmiechem.

— Ach Janko! Janko! — szepnął z żalem Lerche.

— Cicho... nie narzekajcie i nie płaczcie jak dziecko — mówiła z uśmiechem — bądźcie mężczyzną.

— Dobrze Janko — westchnął — a wam tu dobrze?

— Jako, tako... Zrobiliście mi przykrość, dając matce sto koron... zwrócę je wam za trzy miesiące.

— Ułatwię wam zwrot... dostaniecie znów zapomogę.

— O nie... nie chcę żadnej zapomogi, protekcyi... jeśli chcecie być w zgodzie ze mną, to nie róbcie tego.

— Dobrze... a może przysłać wam jakie książki? Mam całą bibliotekę socyalistyczną... na waszą pamiątkę.

— Poco ten niesmaczny dodatek... a co do książek dziękuję wam na razie. No, bywajcie mi zdrowi?

— A wy gdzie?

— Idę na posiedzenie związku zawodowego... chciałam czytelnię założyć dla robotnic, mieć wykłady dla nich... ale odrzuciły moją propozycyę, tak upadłam w ich oczach — kończyła z goryczą Janka.

— Biedna Janko, jakże cię żałuję — mówił wzruszony.

— Było wpierw żałować, teraz zapóźno — powiedziała twardo i pożegnawszy go podaniem ręki, weszła do małego, niepozornego domu robotniczego.

Lerche powrócił do domu z głębokim żalem, z wyrzutami sumienia, że tej, którą najbardziej ukochał, zwichnął życie, i zamiast radości i szczęścia, przyniósł tylko gorycz i smutek.

Życie Janki było teraz istotnie bardzo ciężkie i trudne.

Dawniej naczelnik i inni obawiali się jej, gdyż każda jej skarga przed Lerchem mogła ściągnąć jeśli nie karę, to bodaj naganę wpływowego inspektora.

Janka była poprzednio na stacyi jakby jakąś nietykalną wielkością, a służba kolejowa niższa, w rodzaju Zgierskiego, ubiegała się o jej względy i przyjaźń.

Po zerwaniu z inspektorem Lerchem wszystko się zmieniło.

Ci, którzy się jej obawiali, bez jej wiedzy o tem, teraz mścili się za to na niej, pewni bezkarności.

W pierwszym rzędzie naczelnik, podburzany przez żonę i Alisię.

Pilnował jej służby jak dozorca więźnia niebezpiecznego, nie szczędził wymówek i podejrzeń w sprawie biletów i kasy.

Ostecki, drugi kasyer, widząc, że wszelkie jego starania się o jej względy idą na marne, czynił niemal codziennie przymówki do nieszczęścia z braku protekcyi i pocieszał ją drwiąco, że dawne, dobre czasy wrócą może jeszcze w przyszłości.

Najdotkliwiej dokuczały jej jednak kobiety zamężne i dziewczęta z kamienicy kolejowej. Nie ukrywały wcale swej wzgardy, unikały każdego zetknięcia się z nią, a prym wodziła Zgierska, mszcząc się za poprzednią swoją usłużność i pokorę...

Jedynym człowiekiem względnie przyjaznym był Stański, ale i ten wkrótce uległ suggestyi tłumu, zwłaszcza gdy z roli kolegi, przeszedł na pocieszyciela współczującego, a po pewnym czasie pragnął zostać jej kochankiem.

Odtrąciła go oburzona, a Stański rozgniewany wybuchnął:

— Inspektorowi wolno było, bo protegował, ale poznał się, jakie ziółko z pani i porzucił... Ho! ho! na małżeństwo nikogo nie złapiesz, znamy cię wszyscy — i trzasnąwszy drzwiami wyszedł z pokoju.

Naturalnie odsunął ją natychmiast od wszelkiego współdziałania z partyą bojową w Królestwie.

Janka stała teraz zupełnie osamotniona, gnębiona i poniewierana w służbie i poza służbą kolejową.

Musiała stołować się w garkuchni przy fabryce, znosić bezecne zaczepki pijanych, słuchać prostackich żartów i drwin.

Dopiero po długich usiłowaniach pozwolono jej być sekretarzem jednej sekcyi zawodowej czeladników, gdyż miała „bardzo piękny charakter“ pisma.

Ta surowa opinia ogółu, oparta jedynie na pozorach, niesprawiedliwe zarzuty i podejrzenia, pomiatanie jej uczuciami i godnością, wywołały w niej na razie ogromne rozżalenie i gorycz do ludzi.

Dlaczegoż oni nie przypuszczą, że jej stosunek z inspektorem Lerchem był nic więcej tylko przyjaźnią?

Dlaczego sądzą tak stanowczo, że ona była jego płatną kochanką?

Czy prócz marnych pozorów mają oni jaki dowód?

Wszystko w niej zawrzało gniewem i buntem, postanowiła być twardą, zawziętą, stanowczą, obojętną...

Lecz nie przestawano jej poić trucizną plotek i upokorzeniami, aż wreszcie jednego dnia zajrzała w głąb siebie i zadała sobie pytanie kto winien temu zwrotowi w jej życiu, ludzie czy ona sama?

Prawda, że najpierw ludzie ją tylko nieznacznie podejrzywali, bo raził ich jej sposób życia, a ona, zamiast usunąć przyczynę, stanęła do walki z opinią i... została zwyciężoną.

A Lerche?

Dni przeżyte w domku leśnym wydały się jej teraz rajem. Życie płynęło spokojnie, każde za-

chcenie było rozkazem spełnianym z radością, każde nachmurzenie wywoływało w nim współczucie, otaczała ją miłość, szacunek, uwielbienie, poważanie.

I jaki on był dobry bez granic, bez znużenia, bez zastrzeżeń!

Tak jest; on prosił ją tyle razy, ażeby się wstrzymała, ażeby nie ujawniała przed ciekawym światem przedwcześnie swej serdecznej zażyłości z nim, ażeby nie narażała się; obawiał się następstw, miewał wyrzuty sumienia, że jej ulega... a ona drwiła z niego i jednym uśmiechem, spojrzeniem zmuszała go zawsze do uległości i posłuszeństwa.

I taki był dobry i wierny, nietylko troszczył się o nią, ale o jej rodzinę bez żadnej prośby, wzmianki z jej strony.

Nawet teraz, po zerwaniu, wyrobił zapomogę dla jej matki, ażeby jej nie ciężył dług tych stu koron.

Coraz częściej wspominała go jako jedynego, szczerego przyjaciela.

Poczuła się wreszcie do winy, że była niesprawiedliwą, zwalając wszystko złe, które ją spotkało, na niego.

* * *

Jednego dnia zimowego, gdy inspektor Lerche przyszedł do biura, wręczono mu wśród innych papierów urzędowych, także depeszę ze stacyi Horynia, adresowaną do dyrekcyi kolejowej.

Otworzył ją szybko i przeczytawszy, pobladł lekko, zadzwonił na woźnego i spytał:

— Czy pan hofrat w biurze?

— Właśnie przyszedł.

Schwycił czapkę i szybko poszedł do biura dyrektora.

— Otrzymałem urzędową depeszę z Horyni... naczelnik żąda zastępcy kasyera, gdyż urzędujący tam zasłabł.

— Hm... a zaraz zastępcy — mówił zgryźliwie — nie może tam znaleźć kogoś... jest tam dosyć darmozjadów.

— To prawda, panie hofracie... możeby należało wpierw zbadać sprawę... wyjazd na zastępstwo kosztuje drogo.

— W tem rzecz... a tym naczelnikom się zdaje, że kolej jest tylko dla ich wygody i płacenia pensyi.

— Co pan hofrat rozkaże? — spytał inspektor Lerche.

— Nie dać zastępcy i kwita — odpowiedział twardo.

— Bardzo słusznie... ale ze względów formalnych może należałoby zbadać tę sprawę — odpowiedział Lerche.

— No, tak... Wierzę w bezstronność pana, a gdyby pan tam zechciał pojechać, ale tylko na pół dnia.

— Zastosuję się do rozkazu pana hofrata, dziś wyjadę.

— Bardzo dobrze... lubię gorliwość w służbie — uśmiechnął się łaskawie.

Inspektor Lerche skłonił się głęboko i wyszedł z biura.

Na korytarzu spojrzał na zegarek... za piętnaście minut odchodzi pociąg do Horyni. Wyjął pugilares, a widząc, że mało ma pieniędzy, wszedł szybko do biura jednego z kolegów swoich, mówiąc z progu:

— Pożycz mi do jutra dwieście koron?

— Chętnie... cóż się stało?

— Jadę i może mi zabraknąć w drodze pieniędzy.

— Oto są... a dokąd?

— Do Horyni — odpowiedział inspektor Lerche z progu.

Kolega uśmiechnął się z politowaniem, mrucząc do siebie:

— Wiem już.. Trawecka zachorowała i jedziesz waryacie.

Inspektor Lerche wsiadł do pospiesznego pociągu, a chociaż słupy telegraficzne, drzewa bezlistne i krajobrazy zimowe migały się przez okno wagonu i zlewały się w jakiś jednostajny obraz o mglistych konturach, zdawało się Lerchemu, że pociąg wlecze się żółwim krokiem.

Co chwila patrzył na zegarek, wskazujący ciągle tę samą godzinę.

Nakręcił go, przyłożył do ucha, nasłuchiwał



Janka szepnęła z twarzą rozjaśnioną: kocham cię bardzo!

normalnego chodu, chował do kieszeni, ażeby po kilku minutach znowu wyjąć.

W myśli miał tylko jedno pytanie, co się stało? Czy żyje? Czy wyjechała? Czy porzuciła miejsce?...

Depesza bowiem naczelnika brzmiała bardzo lakonicznie:

„Proszę o zastępcę nieobecnej kasyerki Traweckiej“.

Patrzał na depeszę, niewiadomo poraz który pragnąc odczytać, co znaczyły te słowa, przejrzeć co ukrywały...

Nareszcie pociąg wjechał na stacyę. Lerche sam otworzył drzwiczki wagonu i wyskoczył pierwszy z pociągu na peron, zanim ten zdołał stanąć nieruchomo.

Ujrzał urzędnika w czerwonej czapce na głowie, pełniącego służbę i szybko skierował się w tę stronę.

Na razie miał zamiar spytać go o Jankę, ale zapanował nad sobą; zawołał niecierpliwie, nie zważając na jego służbisty ukłon:

— Gdzie naczelnik?

— Poszedł do magazynu, panie inspektorze. Czy zawołać?

— Nie — odpowiedział po krótkim namyśle — sam pójdę.

Szedł przez peron w kierunku magazynu, gdy zobaczył spieszącego ku niemu naczelnika, który wołał zdaleka:

— Sługa pana inspektora! Sługa!

Inspektor Lerche podał odruchowo rękę do uścisku i spytał:

— Co się dzieje z Trawecką?

— Z Trawecką?... Wczoraj w południe zemdlała w kasie, kazałem odprowadzić ją do jej mieszkania...— zatrzymał się chwilę jakby się namyślał.

— I co? — naglił niecierpliwie inspektor Lerche.

— Nie była na służbie popołudniu ani w nocy, a zapytana, odpowiedziała, że jest bardzo chora.

— Dlaczego pan telegrafował „nieobecna“ zamiast „chora?“ — spytał rozdrażnionym głosem Lerche.

— Alboż ja doktór? — obruszył się naczelnik — może chora, może udaje, kto tam wie co wymyśli kobieta.

— Doktora pan posłał?

— Nie.

— Proszę go wezwać natychmiast, posłać po niego dobre konie — i nie pożegnawszy się, poszedł do kamienicy kolejowej.

Naczelnik patrzał za nim, wreszcie mruknął z gniewem:

— Z temi kobietami zawsze kłopot i nieszczęście — splunął — tfu! do licha ciężkiego!

Inspektor Lerche szybko wbiegł po schodach na drugie piętro i cicho otworzył znane sobie drzwi do kuchenki zimnej i zaniedbanej. Nacisnął drugie drzwi i ujrzał nieład w pokoju, poczuł kopeć z lampy, palącej się na stole i chłód przejmujący.

Na białej poduszce ujrzał tę twarz ukochaną, najmilszą, bladą, mizerną, w obramowaniu bujnych włosów.

Widocznie szmer wejścia rozbudził uwagę chorej Janki.

Jej piękne, błyszczące gorączką oczy spoczęły z wyrazem zdziwienia i obawy na wchodzącym inspektorze.

Zbliżył się szybko do łóżka, ukląknął przy niej, i rzekł miękkim, rozczulonym głosem:

— Janko moja, nic nie chcę, niczego nie pragnę, tylko twego zdrowia... będę ci przyjacielem, a zechcesz, to usunę ci się zupełnie z oczu, tylko żyj...

— Przyjechałeś, to dobrze — rzekła, podając mu białą, szczupłą rękę i uśmiechając się blado — nic mnie nie boli, jestem tylko osłabiona... wstań, nachyl się, coś ci powiem...

Wstał posłuszny i nachylił się, a Janka szepnęła mu do ucha z twarzą rozjaśnioną:

— Kocham cię bardzo!

KONIEC.

„Tajemnice wielkiego świata“.

Oto tytuł nowej powieści współczesnej, napisanej dla pisma naszego przez jednego z wybitnych autorów polskich, ukrywającego się pod pseudonimem **Czesława Radomskiego**.

Powieść tę nadzwyczaj interesującą, pełną scen o wysokiem napięciu dramatycznem, a pod względem języka i »roboty« literackiej nie wiele mającą równych,

rozpoczynamy drukować w następnym numerze.

Zbrodnia z zazdrości.

Miłość i zazdrość — to uczucia, które właściwie powinny się nawzajem wykluczać. A przecież rzeczywistość życiowa wskazuje, iż one bardzo



Zbrodnia z zazdrości: Rzeźbiarz Ciffariello w więzieniu.

często chodzą w parze. Kroniki kryminalne całego świata notują długi szereg zbrodni najstraszniejszych, gdzie motywem była zazdrość wobec osoby gorąco, namiętnie ukochanej.

Taki właśnie podkład ma zbrodnia, popełniona przez słynnego rzeźbiarza włoskiego Ciffariellego na osobie swej żony, zbrodnia, która dziś jest przedmiotem sensacyjnego procesu przed ławą przysięgłych w Neapolu.

Ciffariello poznał się w roku 1892 w Rzymie z śpiewaczką francuską, Maryą Browne. Nadzwyczajnie piękna budowa jej ciała zwróciła uwagę młodego artysty. Nakłonił ją więc, by służyła mu jako model do kilku rzeźb. Wśród artystycznej pracy, wywiązała się między rzeźbiarzem a modelką miłość, zakończona po trzech latach małżeństwem.

Szczęścia w tym związku nie znaleźli. Ciffariello kochał wprawdzie do szaleństwa swą uroczo piękną żonę, ale obok miłości nurtowała w piersi jego zazdrość. Podejrzywał nieustannie żonę, iż go zdradza, choć realnych podstaw do takich podejrzeń nie miał. Pobyt w Rzymie stał mu się męką, zerwał więc wszystkie stosunki tamtejsze i wyjechał z żoną do Pasawy, gdzie otrzymał posadę w fabryce wyrobów majolikowych. I tu jednak zazdrość spokoju mu nie dała. Rozszedł się tedy z żoną, ale po pewnym czasie przekonał się, iż żyć bez niej nie może, wezwał ją więc z powrotem do siebie. Zamieszkali podówczas w Neapolu. Sielanka miłości nie trwała długo. Ponowiły się sceny zazdrości, nieustanne wyrzuty i skargi, żona przeto postanowiła powtórnie opuścić dom męża i przyjąć *engagament* w którymś z teatrów rozmaitości, jako szansonistka. Zwróciła się w celu poczynienia kroków rozwodowych do znajomego adwokata Soria, równocześnie zaś wyjechała do Rzymu.

Ciffariello dowiedział się o postanowieniu żony i przeraził się niem. Próbował znowu nawiązać stosunki. Przybył do Rzymu, spotkał się z żoną i zdawało się, iż istotnie zapanuje — na razie przynajmniej — spokój i zgoda.



Zbrodnia z zazdrości: »Zwiastowanie miłości«, rzeźba Ciffarelliego, przedstawiająca jego żonę.

Wnet jednak potem nastąpiła straszna tragedya. Ciffariello zastrzelił żonę po kolacyi z szampanem, w chwili szału zazdrości, wywołanego sprzeczką, a podobno i jakiemiś wyznaniami żony.

Uwięziony, spędził 33 miesięcy w więzieniu śledczem, a obecnie odpowiada za swój czyn przed sądem przysięgłych.

„Zielony" karnawał.

Pogodna przeważnie i bardzo ciepła, choć spóźniona nieco wiosna tegoroczna, dała amatorom majówek, wycieczek, wogóle zabaw pod gołem niebem, dużo sposobności do użycia rozkoszy tego rodzaju. W każdą niedzielę, w każde święto, wyludniają się miasta prawie zupełnie, a tłumy istne zapełniają wszelkie ogródki, lasy i gaje podmiejskie, by zaczerpnąć „świeżego powietrza" i odetchnąć po całotygodniowej pracy wśród dusznych, pełnych kurzów i niezdrowych wyziewów murów miejskich. „Zielony" karnawał w całej pełni.

Wśród mnóstwa wycieczek i majówek, jakie się w ostatnich tygodniach odbyły w Warszawie, należy się szczególne wyróżnienie zabawie członków związku rzemieślników chrześcijańskich w Królestwie Polskiem. Odbyła się ona w Żabieńcu, dokąd uczestnicy wybrali się kolejką grójecką.

Program tej zabawy był bardzo urozmaicony, a jego punkt kulminacyjny stanowiły tańce przy dźwiękach doskonałej muzyki. Bawiono się ochoczo i wesoło do późnej nocy.

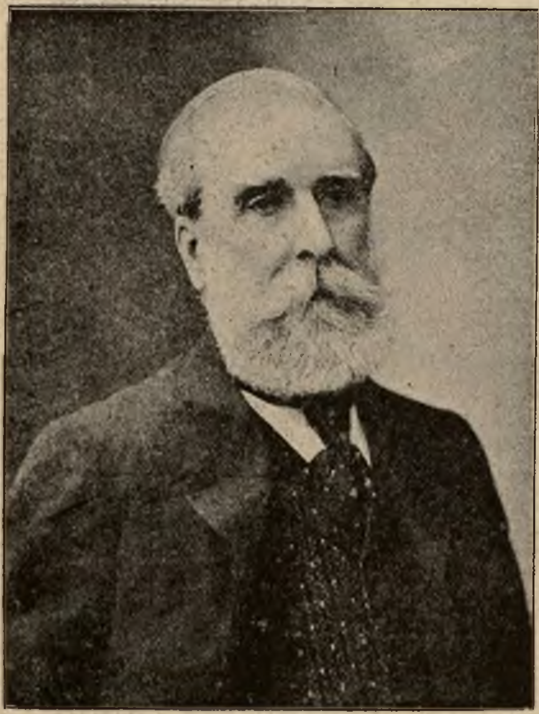
Zgon francuskiego literata.

W Paryżu zmarł niedawno jeden z najbardziej lubianych i najpopularniejszych teatralnych pisa-



»Zielony« karnawał: Uczestnicy wycieczki związku chrześcijańskich rzemieślników w Żabieńcu pod Warszawą.

rzy francuskich, znakomity librecista, Ludwik Halevy. Należał on do tryumwiratu, który swego czasu w teatrze francuskim trzymał niepodzielnie berło śmiechu i humoru. Halevy i Meilhac pisali libretta, Offenbach podkładał pod nie muzykę i z pracy tej spółki powstał w ciągu lat 20 szereg doskonałych operetek, które obiegając świat cały, niby dzieci cygańskie, rozniosły po obu półkólach werwę i humor francuski, przynosząc w zamian twórcom swym wspaniałe, królewskie honorarya. Wtedy to narodziła się „Piękna Helena“, powstał „Orfeusz w Piekle“, tryskało humorem „Życie Paryskie“, rozbrzmiewała „Piosnka Fortunja“ i tyle

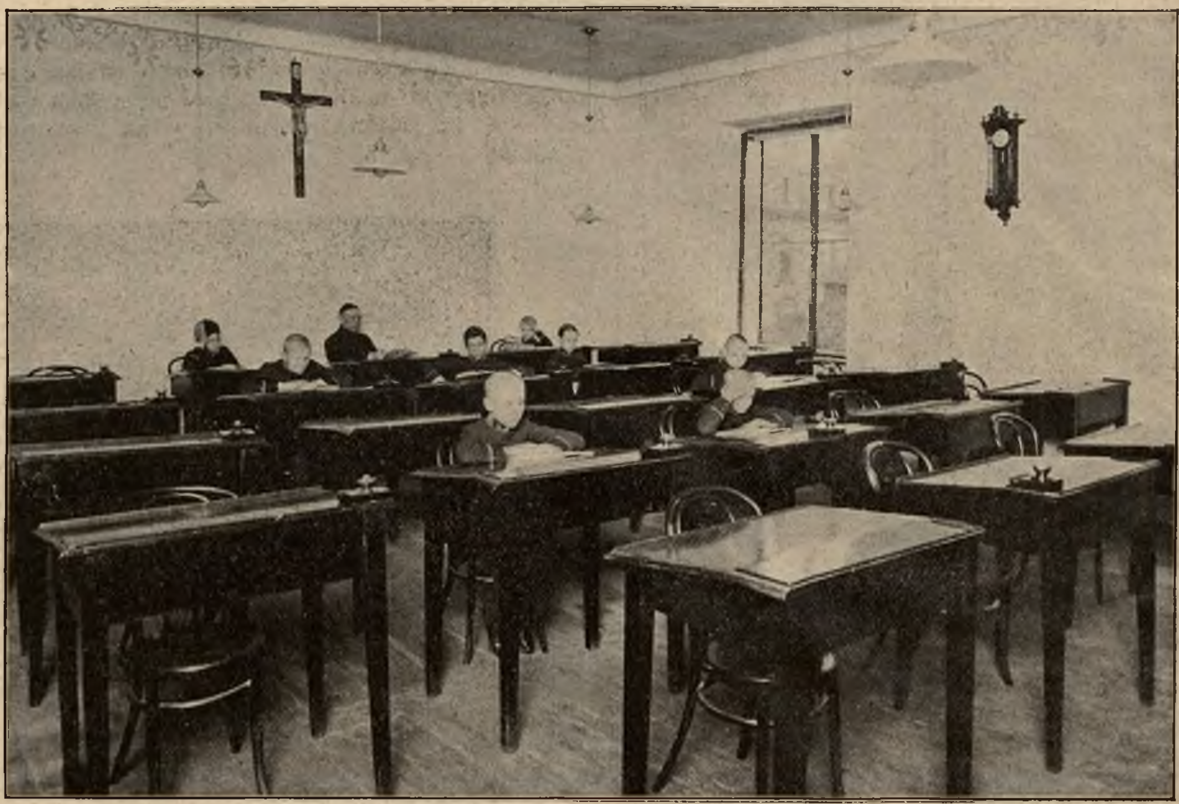


Zgon francuskiego literata: Śp. Ludwik Halevy.

innych utworów, które unieśmiertelniły swych twórców.

Z biegiem czasu spółka ta rozchwiała się; naprzód zeszedł do grobu Offenbach, w ślad za nim poszedł Meilhac Henryk, wreszcie po piętnastoletniem życiu zdala od gwaru wielkoświatowego zgasł i Halevy.

Urodzony w Paryżu 1834 roku, po skończeniu liceum przez czas pewien pracować musiał w służbie rządowej, zanim dał się poznać jako autor. Po dwudziestu latach pracy dla teatrów, Halevy przerzucił się do powieściopisarstwa i stworzył kilkanaście wspaniałych utworów. Wybrany do akademii francuskiej z biegiem lat zaprzestał zwolna tworzenia, nie przestając jednak interesować się ruchem literackim całego świata. Zmarł w Paryżu w siedemdziesiątym czwartym roku życia.



Konwikt ks. Pijarów w Krakowie: »Studium« starszych.

Konwikt ks. Pijarów w Krakowie.

Piękne są w Polsce tradycye zakonu ks. Pijarów. Powołani przez Władysława IV. do Warszawy, założyli swoje kolegium naprzód w tem mieście, następnie w innych: w Krakowie, Piotrkowie, Radomiu, Radziejowie, Opolu itd. Jako zakon, trudniący się przedewszystkiem szerzeniem oświaty i wiedzy wśród młodzieży, zakładali ks. Pijarzy w tych miejscowościach swoje konwikty i kształcili młode pokolenia, siejąc w umysły i serca nietylko wiedzę, ale i gorącą miłość ojczyzny i wiary.

Z zakładów wychowawczych ks. Pijarów wyszło wielu dzielnych synów narodu, zasłużonych bądź na polu nauki, bądź na polu politycznem. Także sami ks. Pijarzy mieli w swoich kolegiach mężów olbrzymich zasług, których nazwiska w dziejach narodu naszego złotemi są zapisane głoskami, że wymienimy tylko ks. Konarskiego, ks. Jakubowskiego, ks. Krupińskiego.

Kolegium w Krakowie należało do najstarszych. Mieściło się ono pierwotnie w gmachu dzisiejszego Muzeum im. ks. Czartoryskich i miało w swych dziejach świetne, złote czasy. Z upadkiem Rzeczypospolitej jednak upadło zupełnie, podobnie jak inne kolegia w Polsce. Powołane zostało ponownie do życia dopiero 1878 r. przez ks. rektora Słotwińskiego, który też założył równocześnie konwikt młodzieży.

Ze śmiercią ks. Słotwińskiego konwikt ten znowu został zaniedbany i przez szereg lat nie funkcyonował. Dopiero ks. rektor Borrell, powołany przed pięciu laty z Hiszpanii do Krakowa, rozpoczął na nowo pracę nad przywróceniem świetnych tradycyj pijarskich w Krakowie. Mimo krótkiego stosunkowo czasu, zdołał ks. Borrel podnieść konwikt krakowski do poziomu bardzo wysokiego, a nie ustając w pracy ani na chwilę, zapewni mu stanowisko pierwszorzędne.

Dziś zajmuje kolegium i konwikt cały gmach obok kościoła ks. Pijarów, gdy poprzednio gmach ten był w dwóch trzecich na inne obracany cele.



Konwikt ks. Pijarów w Krakowie: Grupa wychowanków konwiktu; w pośrodku ks. rektor Borrel, po jego prawej O. prefekt »starszych« A. Kostecki, po lewej O. prefekt »malców« G. Pawęska.

W skład kolegium wchodzą prócz ks. rektora Borrella, ks. magister Wincenty Guillem, także z Hiszpanii, ks. prokurator Siedlarski, oraz OO. prefekci A. Kostecki i G. Pawęska. Wychowanków jest przeszło 40, z czego część uczęszcza do gimnazyów tutejszych, część zaś kształci się wyłącznie w konwikcie.

Konwikt urządzony jest według najnowszych wymogów hygieny i pedagogii. Są tam dwie duże, jasne sale naukowe, tzw. studia, oraz mniejsza sa-



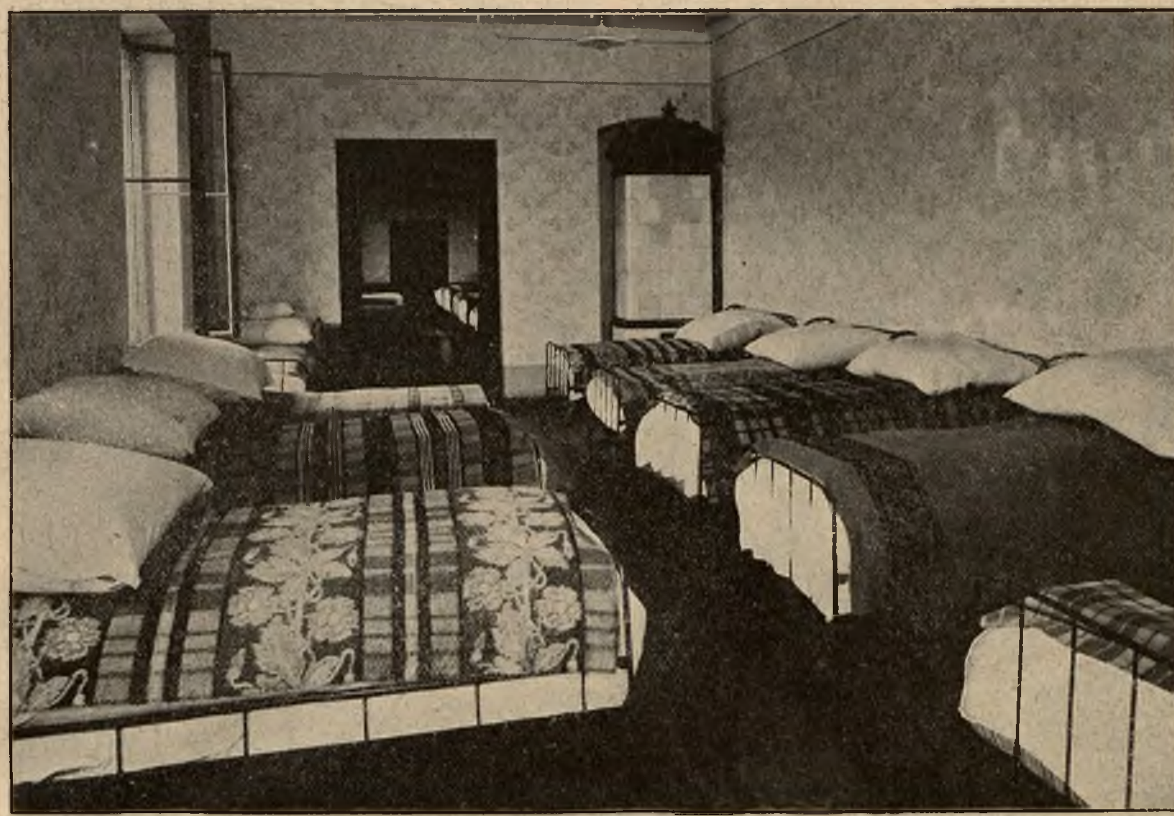
Romans w automobilu Amelia ks. Fürstenberg.

la korepetycyjna, są cztery sypialnie, nadzwyczajnie czysto urządzone, duża jadalnia w parterze i umywalnia. Wszystkie sale i korytarze oświetlone elektrycznie.

Konwikt ks. Pijarów rozwija się coraz piękniej a rezultaty pięcioletniej pracy są imponujące i rokują najpiękniejsze nadzieje na przyszłość.

Romans w automobilu.

Poraz pierwszy może od wynalezienia samochodów i wprowadzenia ich w powszechne użycie zdarzyło się, iż automobil odegrał rolę swatki i połączył z sobą parę, którą rozdzielały znaczne różnice klasowe. Cały bowiem romans miłosny, którego bohaterką jest jedna z najwyższych arystokratek niemieckich, księżniczka Amelia Fürstenberg, odegrał się właśnie w tym nowoczesnym wehikule.



Konwikt ks. Pijarów w Krakowie: Sypialnia.

Ukochanego swego, Gustawa Kocziana, księżniczka zobaczyła poraz pierwszy i poznała w samochodzie. Gustaw Koczian, mężczyzna o niezwykle miłej powierzchowności, odznaczający się prawdziwie męską pięknością, służył początkowo w wojsku i doszedł do stopnia nadporucznika, z powodu jednak ubóstwa musiał opuścić szeregi armii i szukać innego zajęcia. Po pewnym czasie dostał zajęcie w wiedeńskiej fabryce samochodów, jako kierownik filii Marienbad—Karlsbad.

Księżniczka Amelia, zwolenniczka sportu samochodowego, mająca stosunki z tą właśnie fabryką, poznała Kocziana przy próbie samochodu, którym kierował właśnie przyszły zdobywca jej serca. Wrażenie, jakie na siebie oboje wywarli, było ogromne i odrazu wywiązało się między nimi gorące uczucie miłości. Odtąd też księżniczka przedsiębrała coraz częstsze wycieczki, zawsze na przestrzeni Marienbad—Karlsbad, coraz to nowymi samochodami, które zawsze prowadził Koczian. Zakochani widywali się i w Wiedniu, nie kryjąc się z obopólną skłonnością do siebie, nikt jednak nie przypuszczał, by siostra księcia Fürstenberga, przyjaciela cesarza Wilhelma, mogła myśleć o stałym związku z Koczianem.

A jednak tak się stało. Pewnego dnia spostrzeżono w pałacu Fürstenbergów, iż księżniczka zniknęła. Rozpoczęły się poszukiwania, które jednak spełzły na niczem. Po pewnym dopiero czasie zdołano stwierdzić, iż po księżniczkę zajechał Koczian samochodem i uwiózł ją do Szwajcaryi, gdzie zakochani chcą się pobrać.

Księżniczka jest już pełnoletnią, rodzina więc nie może przeszkodzić temu związkowi małżeńskiemu.



Konwikt ks. Pijarów w Krakowie: Jadalnia.



Romans w automobilu Gustaw Ko...

Para szwedzka w Be...

Zmiany, zachodzące obecnie w u... się wzajemnem pierwszorzędnych m... gotowania, czynione przez Anglię...

syę do zawarcia między sobą trójprzymierza, stały się postrachem dla panoszącej się wszędzie pruskiej buty.

Cesarz Wilhelm nie mógł obojętnie patrzeć na francuskie wizyty w Anglii i na mające nastąpić wkrótce odwiedziny francusko-angielskie w Rosyi, postanowił tedy znaleść sobie nowego przyjaciela i przyjąć go z przepychem w Berlinie, by okazać światu, że Prusy nie są odosobnione.



Para szwedzka w Berlinie: Król Gustaw V i cesarz Wilhelm II, obok królowa szwedzka i cesarzowa, w przejeździe przez ulice Berlina.

Wybór pruski padł na Gustawa V., młodego króla Szwecyi, który poraz pierwszy od czasu wstąpienia na tron wybrał się poza granice kraju i odwiedził cesarza Wilhelma w jego stolicy — Berlinie.

Z powodu wizyty tej roztoczono w Berlinie wielki przepych, by olśnić niezamożną parę królewską z północy, całe to jednak przyjęcie odbyło się według odwiecznego programu: powitania, parady wojskowe i objady w zamku królewskim z toastami.

Na dworcu w Berlinie oczekiwał parę szwedzką cesarz z cesarzową, w otoczeniu książąt domu cesarskiego, ministrów i jeneralicyi. Wzdłuż ulic, któremi przejeżdżali monarchowie, zebrały się wielkie tłumy publiczności, witając okrzykami cesarskich gości. Na placu Paryskim przy bramie Brandeburskiej witał gości burmistrz miasta, poczet zaś dziewic honorowych w białych strojach rzucał kwiaty. Po paradzie na polu Tempelhofskiem nastąpił obiad galowy, podczas którego cesarz Wilhelm wypowiedział mowę i wskazał na żywą radość całego narodu niemieckiego z powodu coraz więcej zacieśniających się więzów przyjaźni pomiędzy obu narodami.

Wizyta pary cesarskiej nie zaspokoiła zapewne obrażonej dumy Wilhelma II. z powodu lekceważenia go przez wuja Edwarda VII. i z powodu odosobnienia, w jakiem się znalazł w Europie. Jeszcze bardziej zapewne psują mu humor wiadomości o mającem nastąpić porozumieniu między narodami słowiańskimi i zapowiedzianym do Pragi zjeździe wszechsłowiańskim. Jakkolwiek ostatecznie sprawa ta obrót weźmie, ruch wspomniany nie jest na rękę Wilhelmowi i jego polityce.

Jubileuszowe korso kwiatowe.

Do szeregu uroczystości jubileuszowych, urządzonych w ostatnich dniach w Wiedniu dla uczczenia sześćdziesiątej rocznicy wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa, zaliczyć należy i korso kwiatowe w Praterze.

Przy napływie niezliczonych mas publiczności, zalegającej obie strony głównej alei Prateru, rozpoczął się wspaniały „pochód“ wszelkiego rodzaju pojazdów, przybranych żywymi kwiatami. Oprócz zwykłych powozów, udekorowanych ze smakiem przez artystów, brały udział w tej „defiladzie“ najrozmaitsze fantastyczne rydwany, wzbudzając powszechny podziw, tak obfitością jak i pięknością kwiatów.

Poszczególne dzielnice miasta wystąpiły z cztero i sześciokonnymi zaprzęgami, wśród których szczególniejszą uwagę zwracał pojazd, imitujący ogromnych rozmiarów beczkę z kwiatów, z przybranemi w białe szaty dziewicami, ozdobionemi winnemi gronami.

Pierwszą nagrodę na tym konkursie otrzymał pojazd oficerów dziewięćdziesiątego dziewiątego pułku piechoty, z pocztylionami w czerwonych strojach, którego zdjęcie fotograficzne podajemy Czytelnikom w dzisiejszym numerze.

Korso całe, w ktorem brało udział przeszło tysiąc pojazdów, skończyło się dopiero o godzinie ósmej wieczorem. Na zakończenie odbyła się defilada przed specyalną trybuną sędziów, oraz nastąpiło przyznanie nagród.

Wspaniałe te korso kwiatowe było jakby przygrywką do jubileuszowego pochodu, mającego się w Wiedniu odbyć w dniu 12 czerwca. Nadchodzące o tym pochodzie szczegóły i wiadomości każą się spodziewać czegoś istotnie wspaniałego i nadzwyczajnego.



Jubileuszowe korso kwiatowe: Odznaczony w Wiedniu pierwszą nagrodą pojazd korpusu oficerskiego 99 pp.

Pod groza śmierci.

Powieść.

Przełożył z angielskiego Stanisław Krzyż.

3 (Ciąg dalszy).

— Zrobiłem to mimowolnie, bo w rzeczywistości obowiązany jej jestem do wdzięczności. Nie uwierzysz mi Alec, że to intermezzo wpłynie stanowczo na moją decyzyę w pewnej sprawie, która mi sprawia wiele kłopotu: krótko a węzłowato, chodzi o to, czy zostanę człowiekiem honorowym, czy też kanalią. Co się tyczy mojej kuzyny, proszę cię, oświadcz jej w mojem imieniu, iż nie jadę do domu Beamanoir i że dom ten stoi do jej dyspozycyi — dopóki uzna za stosowne tam przebywać.

— A co będzie z tobą? — spytał zdziwiony Forsyth.

— Ja udam się przedewszystkiem na Bond Street, ażeby pomówić z moimi dawnymi wierzycielami; następnie wieczornym pociągiem pojadę do Prior Tarrant. Ty zaś mój drogi Alec wyświadczysz mi prawdziwie wielką przysługę, jeżeli jak najprędzej porzucisz swój urząd i przybędziesz zaraz do mnie.

V.

Ziegler przypomina się.

W niedzielę książe Beaumanoir stał w oknie wielkiej sali bibliotecznej zamku Prior Tarrant i bębnił palcami po szybach.

Piękne słońce czerwcowe przebijało swoimi promieniami cieniste aleje parku; cały piękny, stary ogród holenderski nęcił oko krasą swojej zieleni. Nie dla księcia jednak istniały te cuda przyrody. Upłynęło dwadzieścia cztery godziny od czasu, gdy książe miał według umowy być u Zieglera. Rozmyślał teraz nad kwestyą, czy i w jaki sposób ów stary autokrata zbrodniarzy da mu uczuć swój gniew; był najmocniej przekonany, iż wyrok zaoczny przeciw niemu już wydano; ludzie bowiem, którzy go usidlili, byli zdolni nawet do wszystkiego.

Książęta Beamanoir nie odznaczali się wprawdzie cnotami, nie mniej jednak nie można było nazwać ich występnymi. Nie chodziło mu o własne bezpieczeństwo lub reputacyę, drżał o los innych. Myślał przedewszystkiem o przyszłości Forsytha. Cios wymierzony przeciw Beaumanoirowi sprowadzi ruinę Aleca, który dla niego porzucił swoją dotychczasową służbę. Następcą jego był kuzyn, człowiek starszy, obarczony rodziną: ten nie będzie potrzebował Forsytha. A jego znajomość i serdeczna przyjaźń z Leonią Sherman, to wspomnienie wywoła u księcia głębokie westchnienie — brutalny znajdzie koniec.

Cały gmach jego marzeń runie bezpowrotnie.

Zrozpaczony, przygnębiony temi czarnemi myślami, wziął pióro do ręki, ażeby położyć kres swoim cierpieniom i zadenuncyować Zieglera bezimiennie do policyi, odrzucił je jednak z niechęcią. Czy anonimowa denuncyacya, niepoparta dowodami, odniesie skutek, chyba wtedy, gdyby przyznał się sam do współudziału; nie — raczej śmierć aniżeli taka hańba.

Rozpacz coraz większa owładała duszą księcia, ten stary zamek feodalny przytłaczał go, samotność dusiła go, a Forsyth niewiadomo, czy przyjedzie.

Beaumanoir wyjął z kieszeni list, który otrzymał dzisiaj rano od swego sekretarza i przyjaciela — i poraz piąty czytał go gorączkowo.

„Mój drogi książę! (nie wolno mi teraz jak dawniej powiedzieć Karolu). Mam niektóre trudności w sprawie uwolnienia od dotychczasowych obowiązków, lecz spodziewam się, iż w poniedziałek będę mógł przybyć.

Będę się o to starał wszelkiemi siłami— bo jestem — proszę mi wybaczyć — bardzo o księcia niespokojny. Zdaje mi się, iż książę dźwigasz na swoich barkach straszny ciężar, że obowiązkiem sekretarza będzie usunąć ten balast. Pragnąłbym pozyskać zupełne zaufanie księcia, a ja, ze swojej strony, oddam na Jego usługi wszystkie moje siły, całego siebie.

Wczoraj wieczorem byłem na obiedzie u mego stryja, generała Sadgrove, i miałem przyjemność spotkać tam panie Sherman. Miss Sherman jest rzeczywiście zachwycającą. Była nieco zakłopotaną, gdy mówiono o Tobie, szczególnie zaś, gdy stryj wyjaśnił, iż ów pan Hanbury, z którym zaznajomiła się na okręcie, był niezawodnie księciem Beaumanoir, jadącym dla objęcia w posiadanie swoich dóbr.

Panna Sherman nie ukrywała swojego podziwu, dla Twojej elegancyi „rodowej", a generał zauważył żartobliwie, iż za nim dowiedziała się o Twoich tytułach, głosiła równie pochlebne pochwały na Twoją cześć.

Następnie gratulowano mi z powodu moich zaręczyn z Sybillą — szczęście moje jest zapewnione.

Jeśli Cię to interesuje — nie byłem na herbacie u pani Talmage Eglinton.

Twój oddany
Alec Forsyth".

Książe złożył list i schował do kieszeni.

— Trzeba będzie jutro pojechać do miasta złożyć wizytę Shermanom. A teraz — pójdę do kościoła, przecież z powodu tego demonicznego Zieglera nie będę się ukrywał po kątach.

Kościół, w którym liczni jego przodkowie modlili się, leżał w środku miasteczka Tarrant, tysiąc kroków od portalu parkowego, krótka droga jednak prowadziła po przez sam park, w przeciwną stronę.

Książe wybrał tę ostatnią. Ścieżkami podążył ku furtce, wyszedł na pola okalające zamek. Wieśniacy, spieszący również do kościoła, uchylali przed nim kapeluszy, i dziwili się niepomiernie, iż szedł piechotą, a nie jechał, jak dawniejsi dziedzice, paradną karetą.

Prostota w obejściu i szczerość z ludźmi, którzy go znali od dzieciństwa, usposobiły wszystkich bardzo korzystnie dla nowego księcia. W czasie nabożeństwa oczy pobożnych były zwrócone na rodową ławkę kolatorów, gdzie siedział osamotniony dziedzic tych włości, zadumany, czy też zatopiony w modlitwie.

Beaumanoir czuł na sobie te oczy, toż z uczuciem prawdziwej ulgi razem z innymi wyszedł z kościoła po ukończeniu służby bożej.

Chciał coprędzej dostać się do zamku, zniknąć ludziom z oczu, ale nieudało mu się. M. Bristow, wikary, zaszedł mu drogę i witając się, zapytał:

— Wasza wysokość jeszcze ciągle osamotniony? Proszę mi wybaczyć moją śmiałość, ale moja żona poleciła mi prosić waszą wysokość o łaskawe zaszczycenie nas spożyciem z nami skromnego śniadania.

Beaumanoir przyjął zaproszenie. Był bowiem szczerym przyjacielem tego osiwiałego duchownego, pełnego sił i czerstwego, który był żywą kroniką jego rodziny: jedna lub dwie godziny spędzone w gronie zacnej rodziny pastora, rozproszą jego myśli, skrócą męczarnie samotności. Powrócił więc i przywitawszy się serdecznie z panią pastorową, zasiadł do skromnego śniadania, chwaląc dobroć kawy i bułeczek, sporządzonych rączkami czcigodnej pani pastorowej.

Około godziny dwunastej powrócił do Prior Tarrant: kasztelan czekał nań u progu z miną, nie wróżącą nic dobrego.

— Co się stało? — spytał książe. Wszak czcigodny M. Bristow przysłał panu przez chłopaka zawiadomienie, iż zatrzymałem się u niego?

— Tak jest, wasza wysokość, nie chodzi o to: stało się co innego, Jennings, młodszy ogrodnik, został napadnięty, gdy przechodził furtką ogrodową do pałacu, powracając z kościoła: rzucono na niego arkan — niby jak na dzikie zwierzę. Gdy Jennings upadł na ziemię, jakiś człowiek podbiegł ku niemu, pomógł mu podźwignąć się i uwolnić z więzów — i znikł — pocieszając ogrodnika, iż to był tylko żart. Ale to żart bardzo niepoczciwy, zwłaszcza, że Jennings utyka trochę i mógł łatwo narazić się na nowe kalectwo.

— Rozumiem — rzekł książe. Może to był tylko żart, w każdym razie dobrze pan zrobisz, jeśli zawiadomisz o wypadku policyę.

Kasztelan odszedł, a książe zamyślił się i idąc szeptał:

— Ziegler przypomina się, kulawy chód ogrodnika oszukał ich; hm, widzę, iż czekają mnie tu różne niespodzianki, trzeba będzie usunąć się.

Słońce zniżało się coraz bardziej, zmrok wieczorny miasto uspokojenia coraz więcej rozstrajał księcia. Przy wieczerzy siedział długo i przeciągał ją w nieskończoność, byle nie być osamotnionym — rozmawiając z kasztelanem o rozmaitych, nic nieznaczących drobiazgach. Wreszcie musiał go uwolnić i pozostał sam. Mimo cudnego wieczoru nie wyszedł do parku, jak to było jego zwyczajem, lecz trwożliwie badał zamki i okiennice, nerwowo bawiąc się rewolwerem, który ciągle nosił w kieszeni. Przed udaniem się na spoczynek spytał jeszcze o wynik dochodzeń policyjnych i nie zdziwił się wcale, gdy mu oświadczono, iż nie zdołano niczego wykryć. Naturalnie — Ziegler umiał dobierać ludzi; policya małomiasteczkowa długo może szukać owego figlarza z arkanem.

Komnata, w której mieściło się łóżko Beaumanoira, była sypialnią jego książęcych pradziadów, ogromna, z starożytnym kominem, głębokiemi oknami, z gęstymi firankami.

Nie podobała mu się ta starożytna, ogromna, smutna sypialnia. Niechcąc jednak wywoływać żadnych plotek i dociekań starych sług, którzy gorszyliby się, gdyby urządził sobie sypialnię gdzieindziej, a nie w „sali książęcej", zrezygnował na razie i pozostał w świetlicy przodków. Drzwi zamknął dobrze na klucz, opatrzył okna, skontrolował staroświecki kominek, popatrzył uważnie pod okap i nigdzie nie znalazł nic podejrzanego. Jakiś czas leżąc w łóżku czuwał jeszcze, wreszcie znużony usnął.

Po kilku godzinach obudził się z uczuciem jakiegoś ciężaru, jakiejś duszności, która tamowała mu oddech. Czoło oblało mu się potem, piersi z coraz większym trudem pracowały, głowa poczęła ciężyć ołowiem. Nagłym ruchem ręki odrzucił kołdrę i w tej chwili skamieniał na widok, który przedstawił się jego obłąkanym z przestrachu oczom. Na kominku palił się ogień słabym płomykiem, tliło się coś okrągłego, niby kula wydając przytem woń nieprzyjemną — gazów węglowych, które nie miały ujścia przez komin. Serce biło mu jak młotem, nie był w stanie myśleć, przed jego okiem migały tylko płomyki trującego gazu, zapalonego zbrodniczą ręką w pokoju zamkniętym na klucz.

— Śmierć skutkiem zaczadzenia.., Ziegler... — majaczył i szepnął nieprzytomny książe.

VI.

Ciekawy generał.

Następnego dnia, popołudniu siedziały przy herbacie cztery damy w eleganckim salonie, w domu 140, Grosvenors Gardens, siedzibie generała Sadgrove, byłego komendanta dywizyi armii angielskiej, która operowała w Indyach.

Pani Sadgrove, okazała kobieta o przyjemnym wyglądzie, przyjmowała u siebie panią senatorową Sherman i jej córkę Leonię, a czwartą osobą była Sybilla Hanbury, która przyszła oznajmić o swych zaręczynach pani Sadgrove, jako ciotce Aleca, gdyż ta była dla niej zawsze prawdziwą drugą matką. Z powodu żałoby po zmarłym stryju i kuzynie, zaręczyny odbyły się w ścisłem kółku familijnem, do którego naturalnie należała i pani Sadgrove, gdyż Sybille znała prawie od dzieciństwa, a nawet jakiś czas opiekowała się nią po śmierci rodziców, zanim zajął się nią dziadek, ks. Beaumanoir. Miss Hanbury nie była pięknością, lecz pociągała ku sobie niezwykłym wdziękiem i urokiem świeżej młodości. Posiadała wiele energii, była zwolenniczką rozmaitych sportów; nazywała rzeczy właściwemi imionami, pruderya przesadna nie leżała w jej charakterze, była szczerą i otwartą, umiała z całego serca kochać, ale też i nienawidzieć z całej duszy.

— Ja mam naturę dziwnie chimeryczną, mój drogi przyjacielu — powiedziała raz Forsythowi w chwili, gdy pierwszy pocałunek złączył ich usta — ale jestem podatną i słucham chętnie i poddaję się temu, kogo kocham i szanuję.

Dwie młode panienki toczyły żywą ze sobą rozmowę, w toku której zeszły na nowego księcia, przyjaciela Aleca i kuzyna Sybilli. Ta ostatnia usłyszawszy z ust Leonii same tylko pochlebne słowa o ich towarzyszu podróży panu Hanbury, wyraziła otwarcie, iż dotychczas nie słyszała nic dobrego o swoim kuzynie.

— Ale też zadał on kłam moim uprzedzeniom, tem swojem szlachetnem postąpieniem wobec mojego narzeczonego. Nadał mu posadę sekretarza prywatnego, pani zapewne o tem już słyszała. Człowiek tak uczynny względem swoich dawnych towarzyszy, którym sam niema nic do zawdzięczenia — nie może być chyba złym.

Leonia potwierdziła to mniemanie, które chętnie podzielała.

— Wydaje mi się bardzo dobrym, delikatnym człowiekiem i nie sądzę, ażeby był zdolnym do popełnienia czegoś zdrożnego.

— O tem też nikt nie mówi. Był tylko zanadto ekscentrycznym i mój dziadek wskutek tego musiał płacić za wiele jego wybryków. Widzi pani, on właściwie nie był przeznaczony na dziedzica — ale... zresztą może być, iż postąpiono z nim nieco za surowo.

Dalsze zwierzenia przerwał lokaj, który zaanonsował:

— Pani Tolmage Eglinton.

— Rodaczka pani. Czy pani ją zna? — spytała Sybilla. W tej chwili weszła do salonu dama w ogromnym kapeluszu, strojnym w kwiaty.

— Nie, nie znam tej pani, ani z nazwiska, ani z widzenia — odparła Leonia, niemile dotknięta, czująca wprost antypatyę ku tej strojnej damie, która swojemi ciekawemi oczami zdawała się kontrolować obecnych.

Pani Tolmage Eglinton spojrzała na Leonię i jej matkę z taką pewnością, iż gospodyni, jenerałowa Sadgrove, przeświadczona, iż te damy już się gdzieś spotkały, pospieszyła przedstawić je, dodając, iż są jej przyjaciółkami z Ameryki i przybyły w gościnę do jej domu. Panie Sherman znały całe towarzystwo Nowego Jorku, z nazwiskiem jednak Tolmage Eglinton nigdzie się nie spotkały.

Elegancka dama zamieniła z Amerykankami kilka banalnych frazesów, zwróciła się z rozmową do pani domu, usiłując przedtem widocznie wciągnąć do dyskursu Sybilę, której jej nie przedstawiono.

— Ta kobieta jest nieznośną— szepnęła Sybila do Leonii — powiem pani później dlaczego.

Do pokoju wszedł w tej chwili starszy człowiek, około sześćdziesięcioletni, z włosami i wąsami szpakowatemi. Wejście jego podziałało niby iskra elektryczna na panią Eglinton. Wstała i poczęła się żegnać.

— Nie — doprawdy — nie mogę dłużej pozostać, kochana pani Sadgrove, muszę sobie nawet odmówić przyjemności porozmawiania z jenerałem — szczebiotała elegantka. — Mam jeszcze tyle wizyt, a zresztą i tak zasiedziałam się tutaj. Dowidzenia. Ależ proszę się nie trudzić jenerale — rzekła, gdy tenże z ukłonem odprowadzał ją do drzwi.

Jenerał był człowiekiem żywego usposobienia, krótki w słowach, ruchliwy, sprytny i otwarty. Posiadał kilka orderów za wyśmienite usługi oddane rządowi angielskiemu przy poskramianiu buntu w Indyach, a jego nazwisko jeszcze do dnia dzisiejszego wspominają tamtejsze kroniki kryminalne.

„Sadgrovowi nie potrzeba wskazywać drogi — mówił o nim minister — on znajdzie ją sobie sam, on ma nos foxterriera, a piersi charta".

Naturalnie przeniesiony w stan dobrze zasłużonego spoczynku, niemiał już więcej sposobności do okazywania tych zdolności.

Żona podała mu filiżankę herbaty, a generał postawił ją na kominku i patrząc na kobiety, rzekł:

— Coś mi panie wyglądacie tak, jakgdybyście wysłuchały jakiegoś strasznego opowiadania?

— Ależ nie — odpowiedziała z uśmiechem Sybilla — nic podobnego. Tylko ta dama ze swoją przesadą, strasznie nas zmęczyła. Zastanawia mnie dalej i dziwi, iż Leonia mówi, że niezna jej zupełnie.

— Czy nie opowiadała wam — ciągnął dalej generał, nie zważając na Sybillę — iż jadąc tutaj, powóz jej przejechał jakiegoś człowieka i omal go nie zabił?

— Ani słówkiem nie wspomniała o tem.

— A ty skąd się o tem dowiedziałeś? — spytała pani Sadgrove.

— Widziałem na własne oczy. Stało się to przed pałacem Buckingham. Wracałem właśnie z klubu. Woźnica najechał na jakiegoś człowieka, gdy tenże przechodził z jednej strony ulicy na drugą. Padł na ziemię i cudem mogę tylko nazwać, iż konie go nie zmiażdżyły swojemi kopytami. Skończyło się szczęściem na strachu i powalaniu ubrania. Przejechany podniósł się i widziałem go, gdy wszedł potem do fryzyera, pewnie, ażeby kazać się oczyścić.

Generał mówił dalej, iż był to bezsprzecznie pojazd, którym jechała Talmage Eglinton, widział go bowiem przed domem, a i teraz, gdy ją odprowadzał, zauważył, iż wsiadła do tegoż samego powozu.

— Rzeczywiście, to dziwne — powiedziała generałowa — iż nie wspomniała o tem ani słówkiem, choć co prawda to właściwie nie jej wina, lecz woźnicy...

— Naturalnie! — rzekł generał.

— Co za kreatura! — rzekła pogardliwie Sybilla. Dzięki Bogu! ja jej nieznam. Ale mówił mi dosyć o niej Alec. Biedny chłopak! nie może jej znieść, a ona prawie, że nam się narzuca.

— No, no — pojmujemy twoje oburzenie — powiedział generał śmiejąc się. Ale powiedzcie mi, komu mamy właściwie zawdzięczać tę znajomość — spytał generał, zwracając się do żony.

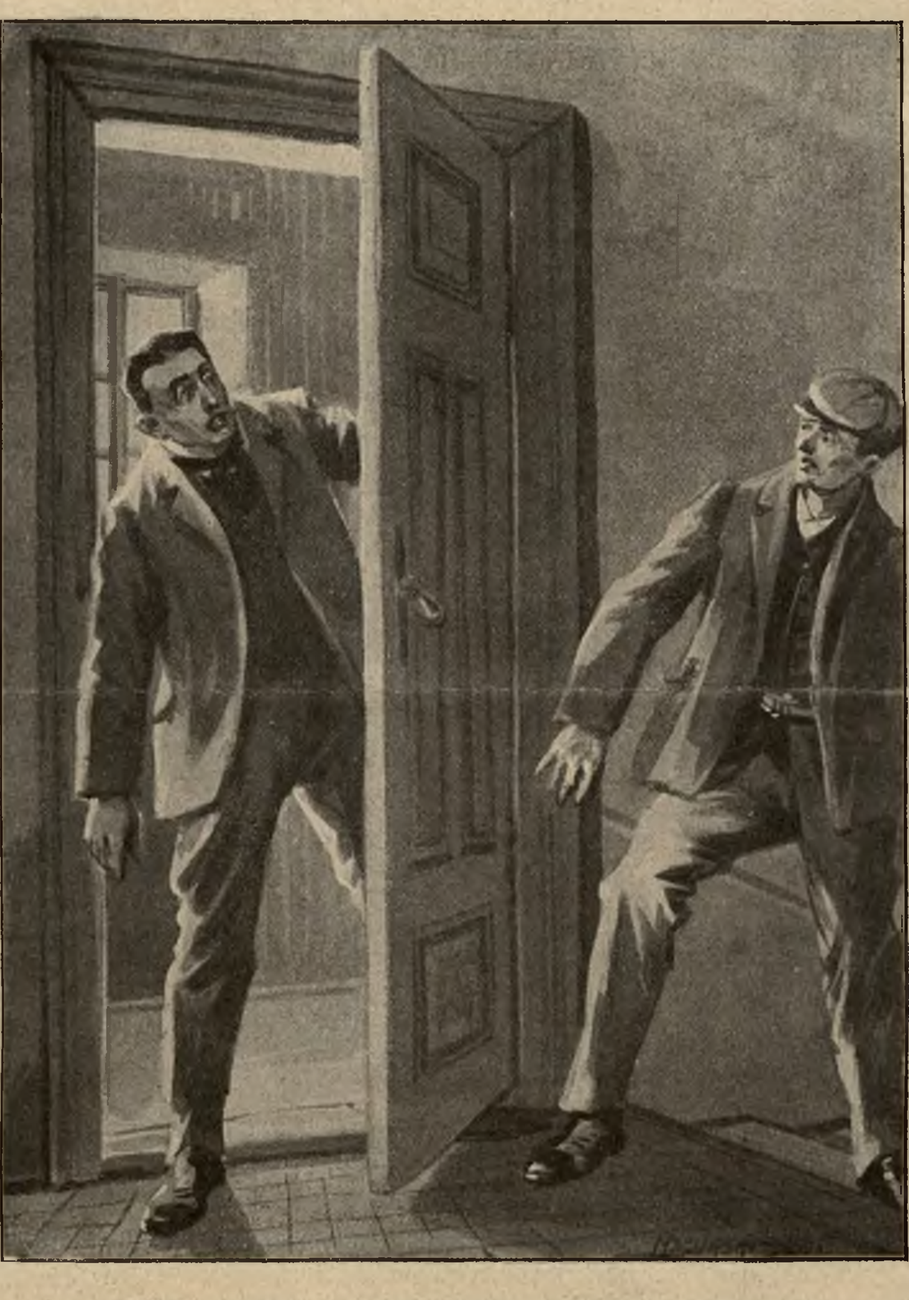
Pani Sadgrove wyjaśniła, iż poznała ją u lady Roseville.

— Ja przypuszczam, iż ta pani Eglinton musi być jakąś bogatą wdową.

— Jego wysokość ks. Beaumanoir — zaanonsował w tej chwili lokaj.

Anglicy i Amerykanie poruszyli się na dźwięk tych słów, Leonia zaś nie mogła ukryć swoich rumieńców, które nagle wybiegły na jej piękną twarzyczkę.

Sybilla Hanbury czekała niecierpliwie na kuzyna, który w jednej chwili uczynił ją najszczęśliwszą z oblubienic.



Do dyabła — czego pan tu szukasz? — zapytał Forsyth.

Gospodyni domu przyjęła gościa miłym, macierzystym uśmiechem i uściskiem dłoni; generał na widok wchodzącego młodzieńca tak dziwnie począł go oglądać, iż mimowolnie zwróciło to uwagę wszystkich.

Beaumanoir miał maniery skończonego światowca, lecz mimo swobody w obejściu, oczy jego wyrażały jakąś trwogę, który to szczegół nie uszedł bacznemu oku generała. Książę był właśnie tym człowiekiem, którego o mały włos nie przyprawił o śmierć pojazd pani Talmage Eglinton. Ubranie troskliwie oczyszczone nie okazywało wprawdzie żadnych śladów upadku, na lewej ręce jednak widać było ślad skaleczenia. Generał niemiał jednak zwyczaju uprzedzać wypadków, nie rzekł więc nic o wypadku, którego był świadkiem i czekał, aż książe sam wspomni o zajściu. Ale ofiara wypadku nic o tem nie mówiła, jak również przedtem i sprawca. Mimowolnie więc pani Sherman dotknęła tego przedmiotu i sprawiła, iż ciekawość i zdumienie generała jeszcze bardziej się wzmogły.

— Wasza książęca wysokość skaleczył się w rękę — rzekła wskazując na lewą rękę księcia, na której widać było świeży plaster.

— Tak jest... zaczepiłem nieostrożnie o koło, wysiadając z powozu — powiedział książe wymijająco.

Na odpowiedź tę dziwną — na szczęście — nikt nie zwrócił uwagi, prócz starego generała, który zauważył dalej, iż książe starał się sprowadzić rozmowę na osobę senatora Shermana, wypytując dość nawet niedyskretnie o cel, czas przybycia jego, długość pobytu i tym podobne szczegóły.

— Mówiono mi — zauważył książe tonem na wpół pytającym — iż senator przyjeżdża w sprawach politycznych?

Leonia odpowiedziała na jego poprzednie pytanie, że ojciec za dwa dni wsiądzie na parowiec „Campania" i według ich obliczeń powinienby przybyć do Liverpoolu z początkiem przyszłego tygodnia.

— Tak — są to sprawy polityczne swego rodzaju — rzekła pani Sherman. Mój mąż otrzymał polecenie przewiezienia walorów amerykańskich na bardzo znaczną sumę. Walory te ma zdeponować w banku angielskim w zamian za złoto, które ma znowu zawieść do Stanów Zjednoczonych.

— Aha! — tegośmy się chcieli dowiedzieć — rozmyślał generał. Ale do dyabła, co mu przyjdzie z tych szczegółów?

Podczas dalszej rozmowy, podniecony dotychczasowemi obserwacyami, generał dalej pilnie studyował księcia.

— Misya bardzo niebezpieczna — zauważył książe.

— Niebezpieczna! z jakiego powodu? — zapytała naiwnie Leonia. Walory skarbu amerykańskiego nie są przecież dynamitem.

— Nie, ale na świecie jest tylu zbrodniarzy, że nie powiem złodziei, miss Sherman, którzy mogliby pokusić się a łup wart stawki — przemówił Beaumanoir w sposób tak poważny, iż zwróciło to uwagę wszystkich. Gdyby ktokolwiek z moich krewnych miał podobną misyę do spełnienia, usilnie bym mu zalecał, ażeby miał oczy i uszy czujnie otwarte.

W odpowiedzi zauważyła pani Sherman, śmiejąc się, iż jej mąż jest człowiekiem roztropnym, spokojnym i z pewnością będzie umiał sobie poradzić.

Książe zamilkł, a generał snuł dalej wątek swoich spostrzeżeń:

— Jego wysokość coś wie — zastanawiał się w myśli. Rozbierzmy tę rzecz z uwagą i pomału. Było z nim przecież bardzo krucho w Nowym Jorku, kto tam więc wie, z kim on się nie stykał — myślał stary wyjadacz.

W tej chwili wstał Beaumanoir, ażeby się pożegnać i przy tej sposobności zamienił kilka słów z Sybillą, która także bardzo uważnie mu się przypatrywała, niemniej jak generał.

— Pójdę teraz do Aleca na ulicę John Street — rzekł książe — poproszę go, ażeby mi na dzisiaj udzielił noclegu.

— Doprawdy — to nieładnie z mojej strony, iż wasza wysokość musi się tułać — przemówiła Sybilla. Wyprowadzę się z pałacu Beaumanoir — skoro tylko uporządkuję swoje sprawy.

— Ależ proszę się nie krępować — rzekł uprzejmie książe. Alec jest prawie jedynym moim przyjacielem, ja czuję gwałtowną potrzebę pozyskania sobie przyjaciela, moja kuzynko. Jestem szczęśliwy, iż mogłem mu wyświadczyć przysługę, a przy tej sposobności i tobie, jeśli czyn mój zasługuje na miano przysługi.

Sybilla uścisnęła silnie i serdecznie podaną dłoń, a generał, który nie miał sposobności zamienienia z księciem dotychczas ani czterech słów nawet, odprowadził go do głównych drzwi.

— Czy pójdziesz pan piechotą, czy może kazać zawołać dorożkę — spytał gościa.

Beaumanoir wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Piechotą, czy dorożką — to nie zmieni postaci rzeczy. Moje uszanowanie, panie generale.

Generał powrócił do swego gabinetu, zapalił cygaro i siadając na wygodnym fotelu, na nowo począł zastanawiać się nad tem, co widział i słyszał. (C. d. n.)

Wstrząsająca tragedya rodzinna.

Krwawa tragedya na tle nieporozumień rodzinnych rozegrała się w ubiegłym tygodniu w ubogim domu robotniczym w Warszawie. Stało się



Wstrząsająca tragedya rodzinna: Karolina Grynwaldowa.

to w domu przy ulicy Żytniej pod l. 31, gdzie mieszkała rodzina robotnika Dyra.

Córka ich Karolina wyszła przed paru laty zamąż za garbarza Aleksandra Grynwalda. Nie znalazła jednak szczęścia w tym związku, a chcąc wreszcie przerwać ciągłą wojnę domową, postanowiła męża swego porzucić. Rzeczywiście przed trzema tygodniami opuściła męża i przybyła do Warszawy, gdzie zajęła dawny swój pokoik w mieszkaniu rodziców.

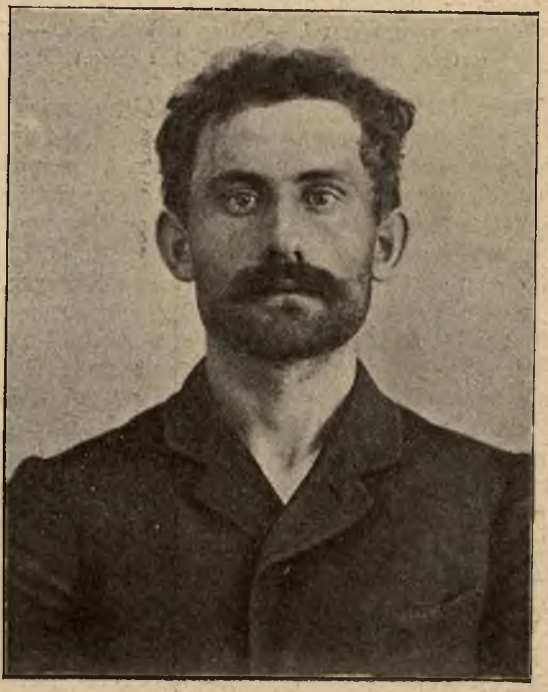
Zdawało się, że mąż, przebolawszy pierwsze chwile rozłąki, zapomni o niej. Nadzieja ta się nie spełniła, bo oto przed kilku dniami wieczorem zjawił się on w mieszkaniu Dyrów i kategorycznie oświadczył żonie, że albo powróci do niego, albo jeśli tego nie uczyni, to ją natychmiast zabije. Widocznie pogróżki swoje chciał on w czyn wprowadzić, bo wydobył nóż i rzucił się z nim na stojącą opodal żonę. Widząc to matka, stara Dyrowa, rzuciła się pomiędzy małżonków, chcąc zasłonić piersią swą córkę przed nożem Grynwalda Ten jednak nie umiał zapanować nad sobą i silną ręką ugodził staruszkę w piersi. Staruszka padła bez życia na ziemię brocząc krwią. Grynwald, podniecony widokiem krwi, rzucił się wówczas na żonę i raz poraz kłuł ją nożem. Wreszcie gdy ta pod wpływem bólu i przestrachu zemdlała, Grynwald przypuszczając, że ją już zabił, opuścił ich mieszkanie.

Zwłoki zamordowanej Dyrowej odstawiono do zakładu medycyny sądowej, zranioną Grynwaldową zaś do szpitala, gdzie rany, na szczęście nie zbyt ciężkie, opatrzono. Grynwald zbiegł w niewiadomym kierunku, a policya rozesłała za nim listy gończe.

Kongres socyalistyczny w Krakowie.

Jedynasty z rzędu kongres polskiej partyi socyalno-demokratycznej, działającej w Galicyi i na Śląsku austryackim, odbył się w czasie Zielonych Świąt w Krakowie. Obrady toczyły się w pięknie udekorowanej sali Starego teatru, przy udziale 136 delegatów ze wszystkich stron kraju i poważnego grona gości. Między tymi był weteran socyalnej demokracyi, Bolesław Limanowski, przedstawiciele obu frakcyi P. P. S. z zaboru rosyjskiego i „Socyal-demokracyi Królestwa Polskiego i Litwy“, ukrainskiej partyi dr. Nowakowski i poseł Wityk, czeski socyalista dr. Winter i niemiecki Winarsky. Ogólną uwagę zwracał też udział wielu kobiet, zwłaszcza delegacya związku kobiet śląskich.

Obrady trwały trzy dni a przewodniczyli im pp. dr. Diamand, Hudec i Reger. Załatwiono na kongresie cały szereg najrozmaitszych spraw wewnętrznych partyjnych, jak sprawę organizacyi, taktyki oraz prasy; jednym z ważniejszych punktów obrad było sprawozdaniek lubu posłów socyalistycznych do rady państwa z działalności parlamentarnej, które to sprawozdanie przyjęto do wiadomości i posłom wyrażono uznanie; nadto omówiono wszechstronnie kwestyę żydowską, która od dłuższego już czasu sprawia polskiej partyi dużo kłopotów. Ostatecznie kongres przeszedł do porządku dziennego nad żądaniem pewnych grup co do utworzenia osobnej, żydowskiej partyi, godząc



Wstrząsająca tragedya rodzinna: Aleksander Grynwald.

się jedynie na żydowskie sekcye w łonie polskiej partyi, z przyznaniem im pewnej autonomii.

W ostatnim dniu obrad odbył się komers uczestników kongresu, w czasie którego wzniesono szereg toastów na cześć partyi i wybitnych jej działaczów.

Zdjęcie fotograficzne grupy uczestników kongresu, zgromadzonych w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej, zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Nowości“.



Kongres socyalistyczny w Krakowie: Uczestnicy XI kongresu. 1. dr. Diamand, 2. I. Daszyński, 3. dr. Nowakowski, 4. dr. Winter, 5. Winarsky, 6. Hudec, 7 dr. Lieberman, 8. Bolesław Limanowski, 9, 10, 11 i 12, delegatki związku kobiet śląskich, 13. dr. Kunicki, 14. Tad. Reger, 15. Moraczewski, 16. dr. R. Buber, 17. dr. Bobrowski.

Z TYGODNIA

(Jak powinien się nazywać wiek bieżący? — Strejk studentów niemieckich. — Budująca solidarność. — Zielone święta. — Doświadczenia w restauracyi. — Nieco o kelnerach. — Gramatyka, a spis potraw. — »Jeden« chłop.)

Wiek bieżący nazywają niektórzy wiekiem dzieci, nie dlatego, ażeby obecnie więcej stosunkowo dzieci przychodziło na świat, niż w innych stuleciach, ale z tej przyczyny, że otaczamy dziatwę szczególniejszą opieką i usiłujemy zrozumieć duszę dziecięcą. Inni dają naszemu wiekowi nazwę wieku wyzwolenia kobiet, wieku elektryczności, wieku balonów, czyli podboju powietrza, słowem każdy wybitniejszy objaw działalności ludzkiej staje się szyldem dla naszego stulecia. A nie możnaby wiekowi naszemu nadać nazwy stulecia strejków? Ileż to strejków przeżyliśmy w ostatnich kilku latach... Strejkowali pocztowcy i kolejarze pod oryginalną postacią biernego oporu, strejkowali posłowie pod niemniej oryginalną postacią obstrukcyi, strejkowali lekarze gminni w Austryi dolnej, a robotnik, który nigdy nie strajkował, jest dzisiaj okazem wystawowym.

Wobec tego dziwić się należy i to niebotycznie, że dopiero teraz urządzili uczniowie — przepraszam—słuchacze uniwersytetów niemieckich w Austryi powszechny strejk. Do uniwersytetów przyłączyły się wszystkie wyższe zakłady naukowe niemieckie, a częściowo czeski uniwersytet w Pradze i obie czeskie politechniki, jedna w Pradze, a druga w Bernie.

Właściwie strejkują także profesorowie, gdyż w niektórych zakładach naukowych rektorowie na podstawie uchwał senatów najpierw zawiesili wykłady, poczem dopiero studenci ogłosili strejk. Budujący przykład zgody profesorów ze studentami! Bogiem i prawdą obecny strejk studentów niemieckich jest tylko czczą formalnością, niemieccy studenci spędzili całe bieżące półrocze na zupełnem próżnowaniu, to znaczy na obronie „wolności nauki".

„Gaudeamus igitur" — mogą zawołać teraz wszyscy postępowi Niemcy. Prasa wiedeńska kroczy na czele strejkujących studentów, paląc na ich cześć kadzidła. Nic też dziwnego, że „burszom" zawróciło się w głowach, znoszących ogromne ilości piwa, ale nieprzystępnych dla zdrowej myśli. Zresztą, jak wspomnieliśmy, profesorowie nie troszczą się wcale o sianie zdrowych ziarn nauki. Wolą kąkol polityczny i sekciarski. A przy tej sposobności nie cofają się nawet przed gorszącą polemiką.

Podczas promocyi pewnego słuchacza uniwersytetu w Wiedniu, rektor Ebner w przemowie do promowanego wyraził nadzieję, że będzie wdzięczny profesorom, stojącym obecnie w obronie „wolności nauki". Profesor Lamasch, jako promotor, wygłosił również przemowę, w której wystąpił przeciwko rektorowi, stwierdziwszy, że „miarodajne czynniki sypchają winę na niewinnych". Świadkowie promocyi nie byli chyba zbudowani tą polemiką publiczną dwóch wybitnych profesorów. Prasa wiedeńska, barwy „liberalnej", przemilczała dyskretnie to zdarzenie, tylko znana „ciotka z Fichtegasse", to jest „Neue Freie Presse" dała krótką wzmiankę o tym fakcie w kąciku ostatniej stronicy.

Pomówmy nieco o naszej prasie. O jubileuszach Goethego, Schillera i rozmaitych innych bogów niemieckich naczytałem się tyle w dziennikach naszych, że wcale nie byłem zdziwiony, gdy w dniu 23 maja nie znalazłem w nich wzmianki o Cyprynie Norwidzie, który umarł dnia owego przed 25 laty. Pamięć tego poety, rzeźbiarza, malarza i myśliciela, wskrzesił Zenon Przesmycki, redaktor „Chimery" i położył prawdziwą zasługę około literatury naszej. Norwid, wygnaniec, pozbawiony majątku, całe życie tęsknił do ojczyzny, a tę swoją tęsknotę wyraził w prześlicznym i wzruszającym okrzyku:

„Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba — tęskno mi Panie!
Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służy — tęskno mi Panie!
Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są, jak odwieczne Chrystusa wyznanie:
„Bądź pochwalony!" — tęskno mi Panie!"

Krakowianom przypomniała Norwida dyrekcya teatru miejskiego, wystawiwszy jego baśń tragiczną p. t. „Krakus". Dyrekcya nie szczędziła ani kosztów, ani trudu, ażeby godnie uczcić pamięć zapomnianego przez długie lata poety i zyskała sobie zasłużone uznanie ze strony publiczności i prasy.

Z wyżyn Parnasu schodzę na niziny bruku krakowskiego i stwierdzam, że nam Zielone święta nie dopisały. Po upałach, które tak utrudniały wszelką pracę, przyszły na święta właśnie ulewne deszcze i zimna, udaremniając wszelkie wycieczki. Podpisany, który tylko raz jeździł okrętem z Wiednia do Nussdorfu, miał wielką ochotę pojechać galarem, albo o ile możności parowcem na Bielany — niestety wyrzec się musiał tej przyjemności, sądząc słusznie, że jechać na wodzie, czy wodą, a równocześnie moknąć od deszczu, byłoby zbytkiem nad siły zwykłego śmiertelnika.

Co jednemu na złe wychodzi, to drugiemu służy. Zbankrutowali z kretesem przekupnie na Bielanach, opustoszał „Cichy kącik" pod parkiem Jordana, natomiast przepełnione były kawiarnie, restauracye i handelki krakowskie. Ludziska wyspiali się, a potem spieszyli na „bombkę", albo na „czarną". Przy tej sposobności wystąpiła w całej pełni świetna sprawność i europejskość niektórych kelnerów.

Przed kilku dniami ukończył się w Krakowie „fachowy kurs kelnerski", który miał aż... 11 uczniów. Z wiadomości o dobrem obsługiwaniu gości egzaminował uczniów p. Sauer. Szkoda, że pan Sauer nie widział zapewne obsługi, na którą w bardzo wielu krakowskich lokalach publicznych byli skazani cierpliwi i bardzo wyrozumiali goście.

Chłopiec, nazywający się po polsku „piccolo", kładzie przed tobą na stole papierową serwetę z ogłoszeniami, które niekoniecznie pobudzają apetyt.

„Smierć owadom!" — woła jedno ogłoszenie, drugie zaś zapewnia, że „niema już przepukliny", gdy z trzeciego się dowiadujesz o „łapkach niezawodnych na szczury, myszy i karakony". Wołasz kelnera i żądasz spisu potraw.

— Zaraz, jak tylko tamten pan przeczyta — odpowiada kelner, a chcąc ci dać jakieś odszkodowanie, zapytuje uprzejmie: — Może papierosików?

Kupujesz papierosiki, chociaż masz własne i czekasz cierpliwie, aż tamten pan przeczyta spis potraw. Tamten pan przeczytał, podał dalej i wkrótce karta zniknęła gdzieś w gęstwinie gości. Wzywasz ponownie kelnera, tym razem innego, który ma wygląd nieco energiczny.

— Dajcież mi spis potraw. Czy macie tylko jeden egzemplarz? — wołasz trochę podniesionym głosem, sądząc, że kelner dla salwowania honoru domu postara się czemprędzej o nieszczęsny ów spis.

— Służę zaraz — odpowiada kelner. A może tymczasem wódeczki?

Pijesz wódeczkę i czekasz dalej, skracając sobie czas obserwacyami. Zręczny „piccolo" wyciera nos w serwetkę, a widząc to, kelner ociera sobie także serwetą pot z czoła i karku. Gdy w taki sposób został twój apetyt należycie zaostrzony, otrzymujesz nareszcie upragniony spis potraw. Masz tam wszystko, czego tylko dusza zapragnie. Masz „rosuł", pisany przez „u", ale zato „zopę pomidorową" pisaną przez „o", masz pieczeń „cielencą" przez „n" i „wiepszowinę" przez „sz". Masz dalej „marchefkę" przez „f" i bez błędu wypisane ziemniaczki.

Zjadasz wreszcie cielęcinę, wypijasz dwie szklanki piwa i humor ci się poprawia, zwłaszcza że muzyka zagrała „Wesołą wdówkę". Zaczynasz rozmyślać nad szeregiem pytań. Dlaczego restaurator czy płatniczy nie chce się postarać o jeden wzorowy spis potraw, któryby następnie trzeba tylko przepisywać bez fatalnych błędów? Dlaczego dostajesz papierosiki, wódeczkę, piweczko, ziemniaczki, marchewkę, zamiast papierosów, piwa, wódki itd. Dlaczego „piccolo" uciera nos w serwetę, zaś kelner zamiast go poczuć o wstrętności czegoś podobnego, sam ociera serwetą pot z czoła? Większość kelnerów jest, co prawda wzorową, ale taki jeden wyfraczony pan, ocierający serwetą pot z czoła, psuje reputacyę dziesięciu najznakomitszym kolegom, o ile wzorowi kelnerzy zechcą się przyznać do jego koleżeństwa.

Umilkły tony „Wesołej wdówki", bierzesz więc machinalnie do ręki leżący na stole dziennik i przypadkowo odczytujesz telegram o wniesieniu w Izbie posłów interpelacyi z powodu zabicia przez żandarma „jednego" chłopa. Czy interpelant pragnął śmierci dwóch chłopów? Ależ nie. Oto poprostu w niemieckim oryginale były wyrazy „ein Bauer", co po polsku znaczy: „pewien chłop". Ktoś przetłomaczył dosłownie „ein" przez „jeden" i sprawił czytelnikowi przyjemność, podobną do przyjemności na widok spisu potraw. Ale o tem pomówimy obszerniej w przyszłej kronice.

h. j—e.

NADESŁANE.

Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności.

Głosy publiczne.

Pożar szybu w Borysławiu.

Przemysł naftowy mógłby i powinienby być chlubą Galicyi. Niestety od pewnego czasu stosunki, w tym przemyśle panujące, wykazują znaczne braki, których rezultatem, a zarazem objawem jest olbrzymi, w miliony idący deficyt.



Pożar szybu w Borysławiu: Szyb »Alojzy« w Tustanowicach.

Jedną z przyczyn, które na taki stan rzeczy się składają, są niewątpliwie ogromnie częste pożary, nawiedzające „ziemię obiecaną“ przemysłu naftowego, Borysław i jego okolicę.

Niedawno właśnie, bo 4 czerwca, spłonął znowu jeden z szybów w Tustanowicach pod Borysławiem, należący do kopalni „Alojzy“, a będący własnością firmy Mettens, Lieberman i Bard. Pożar wybuchł nad ranem skutkiem nieostrożności wiertacza. Nieobeszło się przytem bez nieszczęśliwych wypadków, jeden bowiem z pracujących w płonącym szybie robotników, poparzył sobie twarz. Drugi wypadek zaszedł w parę godzin później, gdy w czasie pracy nad gaszeniem ognia nastąpiła silna eksplozya gazów, przyczem skutkiem poparzenia odnieśli poważne rany dwaj tak zwani pionierzy ogniowi.



Pożar szybu w Borysławiu: Szyb »Alojzy« w Tustanowicach podczas pożaru.

Znowu terror ekonomiczny w Warszawie.

Wszystkie partye polityczne w Królestwie potępiły terror ekonomiczny. A przecież coraz nowe fakty wskazują, iż zasadami terroru przejął się cały szereg jednostek i przy lada sposobności zasady te w czyn wprowadza. Nie ma dziś gałęzi przemysłu, gdzieby tą drogą nie probowano załatwić najrozmaitszych spraw, zwłaszcza kwestyi warunków pracy i płacy.

Na takiem to właśnie tle ekonomicznem spełniono przed paru dniami w Warszawie straszliwą zbrodnię, której ofiarą padł właściciel piekarni szwajcarskiej przy ulicy Chłodnej, Wiktor Fiszer. Piekarnia szwajcarska, należąca do rzędu piekarń mniejszych, znajduje się na parterze domu Nr. 39 przy ulicy Chłodnej i łączy się z kantorem oraz mieszkaniem właściciela.



Znowu terror ekonomiczny w Warszawie: Ś. p. Wiktor Fiszer.

Przed paru dniami rano, gdy właściciel Wiktor Fiszer robił rachunki z trzema dostawcami mąki w kantorze, otwarły się nagle drzwi i do kantoru wtargnęło czterech jakichś nieznanych ludzi. Zwróciwszy się do obecnych młynarzów oświadczyli, że chcą na osobności porozmawiać z Fiszerem. Młynarze zastosowali się do życzenia nieznanych i udali się do sąsiedniego pokoju. W kilka chwil potem rozległo się kilka strzałów w kantorze i gdy zaalarmowani tem właściciele młyna wbiegli do kantoru, zastali Fiszera leżącego w kałuży krwi na ziemi. Tymczasem nieznani, po dokonaniu krwawego czynu, wyszli na ulicę.

Zachowanie się sprawców mordu na ulicy zwróciło uwagę policyi, która puściła się w pogoń za uciekającymi i jednego z nich zdołała ująć. Jestto współpracownik składu gramofonów Feigenbauma, Stefan Flatt. Aresztowany nie chce ani wydać towarzyszów zbrodni, ani podać właściwych przyczyn mordu. Chodzi tu jednak niewątpliwie o sprawę ekonomiczną, ponieważ w zawodzie piekarskim istnieje — mimo pozornej ugody — od dłuższego już czasu wrzenie na tle warunków pracy i płacy.

Nowy prąd.

W stosunkach między ludami słowiańskimi zanosi się na bardzo doniosłe zmiany. Inicyatywa w tym kierunku wyszła od grona posłów słowiańskich do rady państwa w Wiedniu, tworzących tam komitet słowiański. Stało się to w wigilię dnia, w którym zorganizowaną została w parlamencie wiedeńskim demonstracya antiniemiecka z powodu uchwalenia w Berlinie ustawy o wywłaszczeniu Polaków w Prusach. Jeden z najsympatyczniejszych i najdzielniejszych posłów czeskich dr. Kramarz, naszkicował cały plan zjednoczenia wszystkich Słowian do energicznej walki z germanizmem, przyczem oczywiście na pierwszym planie postawiono uregulowanie sprawy polskiej w granicach cesarstwa rosyjskiego.

Celem bliższego omówienia szczegółów projektu oraz przygotowania gruntu pod ideę porozumienia polsko-rosyjskiego, wybrali się trzej posłowie wiedeńskiej rady państwa, dr. Kramarz, dr. Hribar i dr. Hlibowicki do Petersburga i Warszawy.

Cel misyi delegaci dopięli prawie w zupełności, przedstawicielstwo bowiem polskie nad Newą przez usta prezesa Koła Polskiego w Dumie oznajmiło uroczyście, iż w walce przeciwko najazdowi germańskiemu, który coraz bardziej zalewa ziemie słowiańskie, naturalnymi naszymi sojusznikami są ludy słowiańskie, zmagające się z niemczyzną, wskutek też tego „sprawa ich, jest naszą sprawą“. Oświadczenie to ułatwiło znacznie przygotowania do zjazdu wszechsłowiańskiego w Pradze, który ma odbyć się jeszcze w roku bieżącym celem obmyślenia wspólnej taktyki wszystkich ludów słowiańskich.

W powrotnej drodze z Petersburga posłowie ci zabawili dzień jeden w Warszawie, gdzie spotkali się z serdecznem przyjęciem tak z powodu swej obecnej misyi, jako też — i to w głównej mierze — ze względu na swe zachowanie się w parlamencie wiedeńskim wobec pruskiej ustawy o wywłaszczeniu. Przyjęci gościnnie na dworcu kolei petersburskiej przez komitet obywatelski, spędzili następnie kilka godzin w salonach ordynata hr. Krasińskiego, gdzie również omawiano w ścisłem kółku zadania polityki słowiańskiej. Pożegnani wielkim bankietem w salach Resursy, odjechali goście słowiańscy do Wiednia z jak najlepszemi nadziejami doprowadzenia do skutku szczytnej misyi.

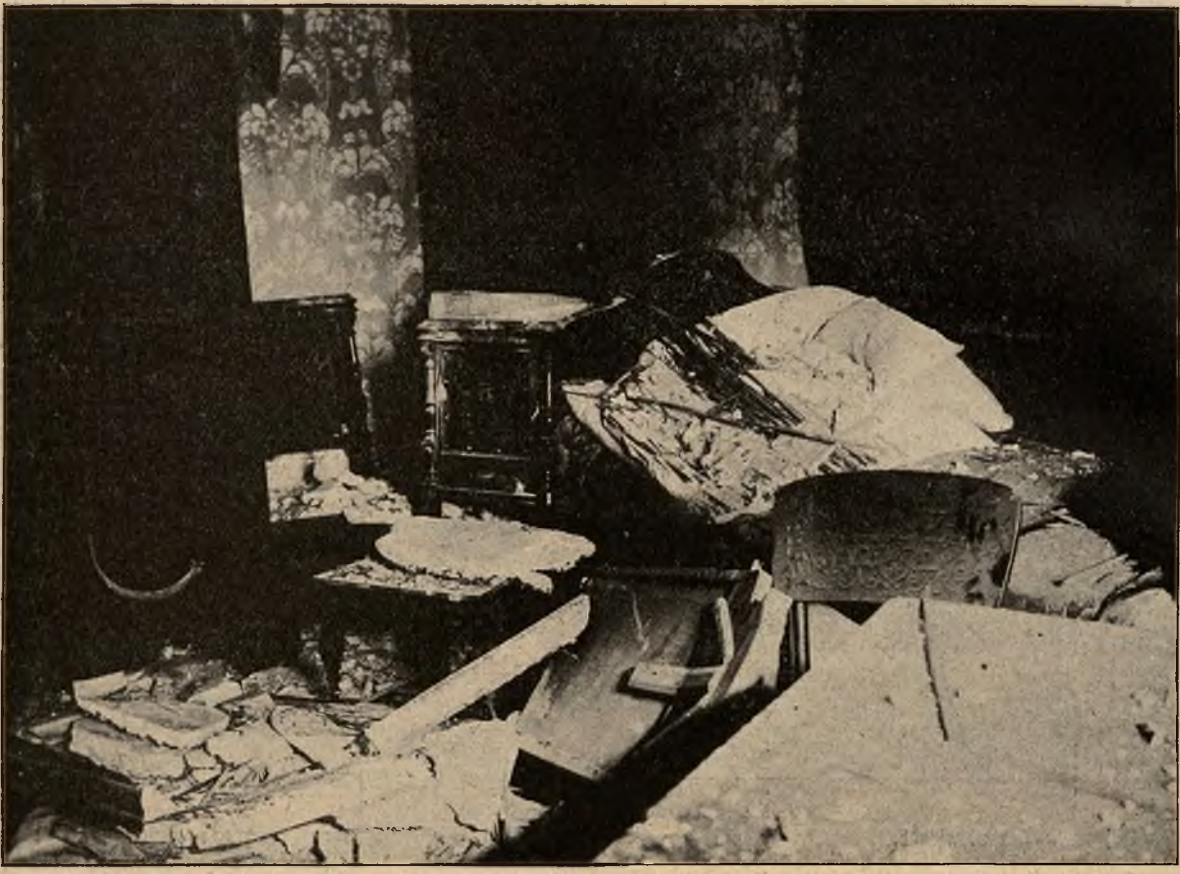
Cudem ocaleni.

Do „specyalności“ Lwowa należy między innemi tamtejszy miejski, popularnie magistrackim zwany, urząd budowniczy. Urząd ten jest prawdziwą bolączką całej gospodarki miejskiej, z niewyjaśnionych zaś powodów nie może się doczekać reorganizacyi, o którą od wielu lat i prasa i część radnych daremnie woła. Stąd też w zakresie budownictwa lwowskiego panuje niesłychany rozgardyasz i bezhołowie.

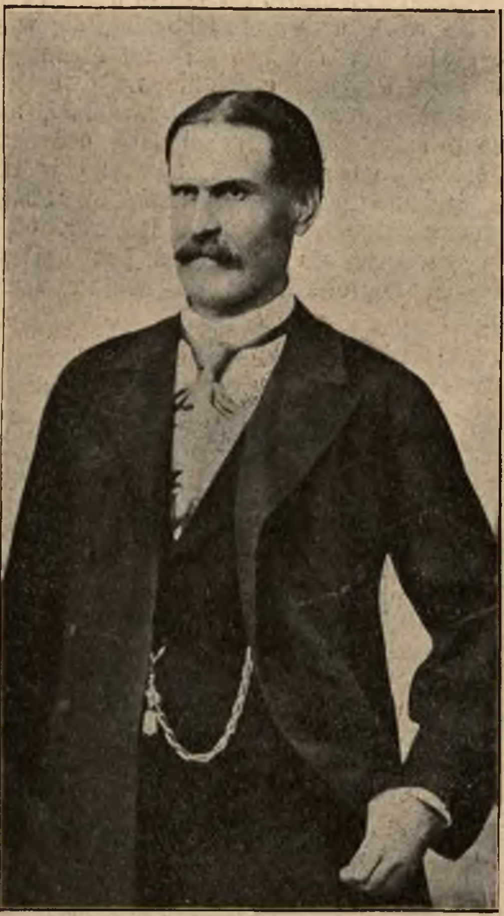
Ofiarą tych azyatyckich stosunków omal nie padł przed kilku dniami jeden z urzędników państwowych z całą swoją rodziną. Zajmuje on przy ulicy Zyblikiewicza l. 26 na pierwszem piętrze pomieszkanie, złożone z trzech pokoi i kuchni. Pomieszkanie to, względnie sufit w jednym pokoju, dawno już podobno groził zawaleniem, ale gospodarz, wedle tolerowanego przez lwowski urząd budowniczy zwyczaju, grubo go zatynkował i pomieszkanie na nowo wynajmował. Lekkomyślność tę byłby ubiegłej soboty wynajmujący mieszkanie lokator przypłacił życiem. Wstał właśnie z popołudniowej drzemki i usunął się od otomany, gdy nad otomaną urwał się kilkumetrowy kawał tynku i spadłszy z ogromną siłą, rozbił kilka kawałków mebli, a bezwątpienia byłby zabił owego urzędnika, gdyby drzemkę swoją był przedłużył o kilka tylko chwil.

Gdyby zaś zawalenie się sufitu nastąpiło w porze obiadowej, ofiarą byłaby padła cała rodzina, gromadząca się o tej porze na tem właśnie miejscu.

Fotografia nasza przedstawia jadalnię zasypaną gruzami tak, jak ją zastała komisya magistratu.



Cudem ocaleni: Zrujnowany skutkiem zawalenia się sufitu pokój.



Nawrócony przed śmiercią: Woźny uniwersytetu warszawskiego, ś. p Gubarew.
(Do artykułu na str. 4).

Koniec sezonu w teatrze krakowskim.

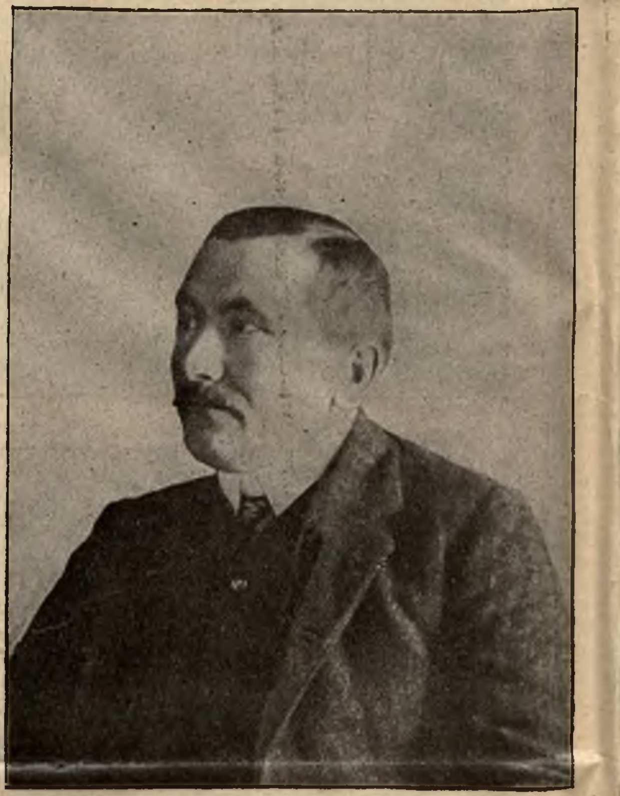
Kampania całoroczna zakończona. Dobiegł znowu końca rok pracy pod sztandarem sztuki, pracy pełnej trudów i cierni, ale uwieńczonej bardzo znacznem powodzeniem artystycznem. Trzeci rok pod dyrekcyą Ludwika Solskiego.

Rozpoczęty „Złotą czaszką“ Słowackiego sezon ubiegły, zapoznał nas z szeregiem nowych cennych utworów dramatycznych, zarówno polskich jak i tłómaczonych, między którymi z oryginalnych zdobyły ogólne uznanie: „Szkoła“ Kaweckiego, „Ich czworo“ Zapolskiej, „Lelewel“, „Zgon Barbary Radziwiłłównej“ i „Meleager“ Wyspiańskiego, „Jeńcy“ Rydla, „Lady Godiva“ Staffa, przedewszystkiem zaś wspaniała rzecz Nowaczyńskiego „Car Samozwaniec“. Zamknięty został sezon sztuką Cypryana Norwida „Krakus, książe nieznany“, czem teatr krakowski złożył hołd pamięci wielkiego a tak mało u nas znanego poety.

Także wiele rzeczy tłómaczonych, które w ubiegłym sezonie wystawiono, wskazują, na jakich wyżynach pragnie obecna dyrekcya postawić teatr krakowski. Wystawiono mianowicie „Cyda“ Corneille'a w przekładzie Wyspiańskiego, „Jak się wam podoba“ i „Romeo i Julia“ Szekspira, „Chmury“ Arystofanesa w przekładzie prof. Cięglewicza, wreszcie Calderona „Cześć dla krzyża“.

W wystawieniu wszystkich sztuk znać było usilne starania kierownictwa, by szata zewnętrzna przedstawień odpowiadała duchowi i epoce dzieł, a tym szczytnym wysiłkom dyrekcyi odpowiadały równomiernie usiłowania artystycznego personalu.

Poważna więc część zasługi około dalszego rozwoju sceny krakowskiej i około tak poważnego dorobku artystycznego w ubiegłym sezonie, przypada w udziale trupie artystów dramatycznych, na tej scenie i dla niej pracujących.



Nowy prąd: Roman Dmowski, prezes koła polskiego w Dumie.

To też niewątpliwie przykrą dla publiczności, interesującej się teatrem krakowskim, będzie wiadomość, iż oprócz znakomitego artysty p. Zelwerowicza, obejmującego dyrekcyę teatru w Łodzi, ustępuje z początkiem nadchodzącego sezonu cały szereg sił dramatycznych, między tymi kilka wybitniejszych, wybijających się zdolnościami i pracowitością na pierwszy plan. Spodziewamy się jednak, że dyrektor Solski, który w ciągu swej trzyletniej pracy w Krakowie teatr swej pieczy powierzony, potrafił postawić na poziomie czystej i prawdziwej sztuki, także i obecnie trupę swoją zdoła uzupełnić nowemi i dobremi siłami, a powstałe przez ustąpienie sił dotychczasowych luki wypełnić bez szkody dla dobra sceny.

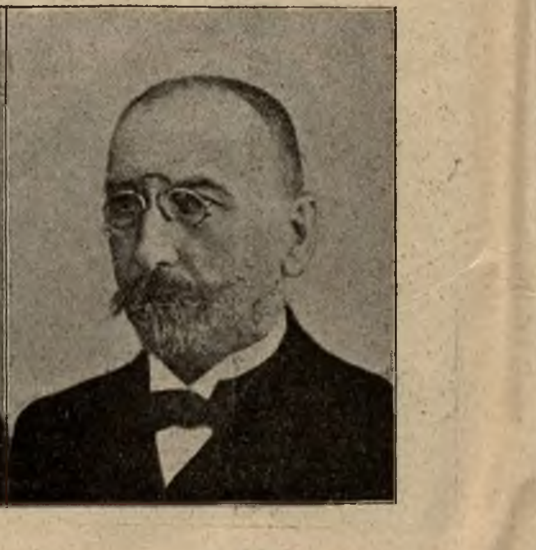
Nowy prąd.



dr. Kramarz.



dr. Hlibowicki.



dr. Hribar.

Nowy dyrektor teatru w Łodzi.

„Złe miasto" — jak nazywają Łódź od czasu szalejącej tam zawieruchy rewolucyjnej — dostanie z początkiem nowego sezonu „dobrego dyrektora" teatru. Powołany został na to stanowisko artysta sceny krakowskiej p. Aleksander Zelwerowicz, jeden z najwybitniejszych polskich aktorów, który był przez szereg lat podporą i chlubą teatru krakowskiego.

Łódź samą i teatr w niej zna już nowy dyrektor. Tam bowiem stawiał pierwsze kroki jako artysta dramatyczny za dyrekcyi ś. p. Wołowskiego. Urodzony 1878 r. w Lublinie z rodziców Litwinów, po ukończeniu szkół średnich w Warszawie, wstąpił do warszawskiej szkoły dramatycznej, równocześnie zaś kształcił się w wyższej szkole handlowej imienia Kronenberga. Następnie wyjechał do Szwajcaryi i wstąpiwszy na uniwersytet genewski, studyował historyę sztuki oraz nauki społeczne.

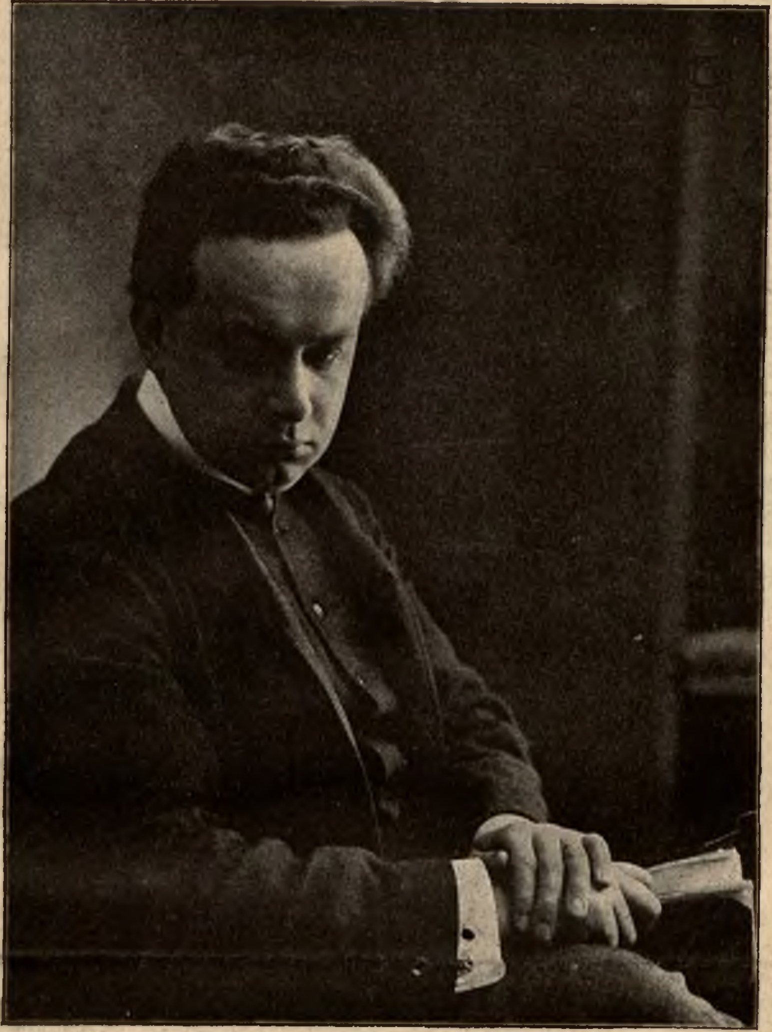
Wnet jednak wrodzony talent wziął górę nad aspiracyami „społecznemi" i Zelwerowicz, wówczas 20-letni młodzieniec, rzucił ławy uniwersyteckie, by zaciągnąć się w szeregi sług Melpomeny. Służbę tę rozpoczął — jak wspomnieliśmy — w Łodzi. Pokazał tam „lwie pazury", odrazu też poznano się na jego wielkim, z łaski Bożej talencie. Już po roku otrzymał kilka doskonałych propozycyi, a to do Poznania, Lwowa i Krakowa. Wybrał Kraków i tu już po kilku miesiącach rolami swymi w „Odrodzeniu", „Sprawie", „Nadziei" i i. wybił się na pierwszorzędne stanowisko. Stał się też ulubieńcem i faworytem publiczności, która stale zachwycała się jego kreacyami, pełnemi naturalnego humoru i werwy, tryskającemi życiem. Przez pięć lat pracował Zelwerowicz za dyrekcyi Kotarbińskiego, przez trzy zaś Solskiego, w tem rok jako reżyser. W repertuarze swym z natury rzeczy bardzo obszernym, posiada kilka ról szczególnie ulubionych, jak w „Tresowanych duszach" „Ogniwach", „Śnie nocy letniej", „Na zawsze", „Interes przedewszystkiem", a zwłaszcza popisowych, jak „Pan Jowialski" lub „Wujaszek Wania" i Korniłow w sztuce Zapolskiej „Tamten".

* * *

Ustąpienie Zelwerowicza z grona artystów teatru krakowskiego jest stratą dla tego teatru bardzo dotkliwą i niełatwą do powetowania. Zrozumiała to i publiczność krakowska, która mu na ostatniem przedstawieniu „Wesela", gdzie Zelwerowicz gra doskonałą swą rolę Czepca, urządziła wraz z jego kolegami serdeczną, gorącą owacyę.

Dyrekcyę teatru w Łodzi obejmuje p. Zelwerowicz z dniem 1 września b. r., sezon zaś rozpocznie 17 września. Prowadzić tam będzie dramat, komedyę, farsę i wodewil. Personal składać się będzie z 36 osób w tem 10 pozyskanych z Krakowa, 5 z Warszawy, 3 z Łodzi, resztę z innych teatrów.

Dyrektorowi Zelwerowiczowi, choć z szczerym żalem przychodzi nam z nim się rozstać, życzymy na nowym posterunku „szczęścia i powodzenia!".



Nowy dyrektor teatru w Łodzi: Aleksander Zelwerowicz.

Od Administracyi.

Przypominamy Szanownym P. T. Prenumeratorom naszym, że przy każdorazowej zmianie adresu należy nadesłać jednocześnie z nowym adresem 40 halerzy na koszta zmiany.

Przypominamy to ze względu na zbliżający się czas wyjazdów do letnisk i miejsc kuracyjnych.



(Aparatem red. W. Lis.)

Koniec sezonu w teatrze krakowskim: Grupa artystów dramatycznych teatru krakowskiego z dyr. Solskim (X) w pośrodku.

BEZ ZAWZIĘTOŚCI!

Powieść na tle opowiadań doświadczonego detektywa.

Z niemieckiego oryginału opracował Ł. R.

12 Ciąg dalszy.

XVII.

Tegel się zbudził, usłyszawszy hałas i wypadł na kurytarz. Na widok policyi struchlał, ale udawał zucha.

— A poco to panowie tak wcześnie? Co się stało?

W tej chwili sprowadzono Gerlacha.

— Potrzebny nam był pański lokator — rzekł urzędnik policyjny — a i pana również zaprosimy ze sobą. W imieniu prawa aresztuję pana, panie Tegel.

— Mnie? uczciwego człowieka, a za co? Za to, że tego biedaka zapomniałem zameldować? No, i cóż wielkiego? Poszukajcie no panowie u Eulowej na drugiem piętrze. Czemu to jej lokatora nie zabierzecie? co?

— Już wzięliśmy go w nocy, z ulicy — rzekł urzędnik.

Odbyto rewizyę w całym domu, dwóch jeszcze lokatorów Tegla aresztowano. Uwięzionych odesłał urzędnik policyjny pod silną strażą do dyrekcyi policyi, a sam z agentami dalszą odbywał rewizyę. Odkryto i u Tegla i u Eulowej całe magazyny kradzionych rzeczy.

Sędzia Maran ogromnie się ucieszył, że Eryka Gerlacha wreszcie uwięziono. Zaraz rano wezwał go do śledztwa, przyczem był też komisarz Haller.

— Pan jesteś Eryk Gerlach?

— Tak.

— Czy wiesz, za co cię uwięziono?

— Nie wiem.

— Ale się domyślasz?

— Tak.

— Przyznajesz się do zbrodni?

— Do jakiej?

— Proszę nie grać tu komedyj, tylko mówić prawdę.

— A, dobrze. Jeżeli wolno, to powiem. Posądzacie mnie panowie o zamordowanie wuja, a posądzenie to jest prostem urojeniem, bo mordercą nie jestem.

— Każdy zbrodniarz zapiera się, żaden przyznać nie chce.

— Być może.

— A więc?

— Ale i niewinny przyznać się nie może do tego, czego nie popełnił.

— Mamy dowody.

— Święty Boże! to zabawne! dowody! ha! ha! dowody! I Eryk Gerlach roześmiał się tak głośno, że do trzeciego biura śmiech jego doleciał. I to sprawiedliwość! To sądy nasze, to policya!

— Proszę milczeć.

— Życzyłeś pan sobie, panie sędzio, abym mówił prawdę; spełniam tylko życzenie pańskie.

— Żądam od pana prawdziwych zeznań, że dopuściłeś się zbrodni, ale zabraniam obraźliwych uwag o władzy.

— W takim razie domaga się pan odemnie kłamstwa, a nie prawdy.

— Dosyć tego, proszę odpowiadać na pytania...

— I owszem, jeżeli to panu sprawi przyjemność.

— Pisałeś pan do siostry z prośbą, aby ci wyjednała przyjęcie u wuja.

— Pisałem.

— W liście była groźba, że w razie odmowy, rzecz cała może smiercią się zakończyć.

— I to prawda.

— O czyjej śmierci myślałeś?

— O swojej własnej. Nie miałem wtedy co jeść, od dwóch dni chodziłem na czczo.

— Siostra ułatwiła panu widzenie się z wujem?

— Ułatwiła.

— Nikt pana nie spostrzegł wchodzącego do domu Sandtnera?

— Nikt.

— Ani Zofia Strobel?

— I ona mnie nie widziała.

— Wuj odmówił panu wszelkiej pomocy?

— Prawda.

— Cóż pan na to odpowiedziałeś?

— Nie miałem nawet czasu odpowiedzieć, bo właśnie usłyszałem za drzwiami czyjeś kroki. Nie chcąc, aby mnie kto zobaczył, a przekonany, że u wuja już nic nie uzyskam, wyskoczyłem przez okno, a potem przez ogródek dostałem się do parku.

— Ale zanim przez okno wyskoczyłeś, zamordowałeś wuja i zrabowałeś mu pulares.

— Nie, panie sędzio, tego nie uczyniłem.

— Dlaczego nie chcesz się przyznać?

— Nie będę kłamał dla sprawienia panu przyjemności.

— A, tak? To ja teraz będę dowodził. Pulares i maskę czarną rzuciłeś w parku?

— Nic o tem nie wiem.

— Maskę ubrałeś na twarz, bo chciałeś obrabować wuja, no i oczywiście nie życzyłeś sobie, aby cię poznał.

— To jakieś urojenia. Żadnej maski nie miałem.

— Spadła z nieba w parku, wraz z pularesem?

— Może.

— Żadnych żarcików!

— Ależ pan sędzia żartuje i mnie do tego zniewala.

— Mówiłeś pan, że cię nikt nie widział wchodzącego do domu wuja. Czy Zofia Strobel także cię nie widziała?

— Nie.

— Musiała cię widzieć, skoro ją otrułeś.

— Ja? otrułem Zofię Strobel? Nie, to już wprost oburzające.

— Otrułeś ją, aby usunąć świadka.

— W takim razie wypadało mi chyba otruć własną siostrę.

— No, a czem to wytłomaczyć, że twoja siostra posądza cię o zbrodnię?

— Nie wiem. Uroiła to sobie.

— To dziwne! Wszystko u pana nazywa się urojeniem. Jeżeli jesteś niewinny, dlaczego ukrywałoś się przed policyą, dlaczego mieszkałeś na poddaszu, aby każdej chwili ułatwić sobie ucieczkę, dlaczego broniłeś się z taką zawziętością, gdy cię na dachu ujęto?

— Wiedziałem dobrze, iż nagromadziły się pozory, które mnie narażają na tak straszne posądzenie; wiem, że często bez dowodów, na mocy przypuszczeń, poszlak, pozorów zamyka się niewinnych i na śmierć skazuje. Ukrywałem się, chcąc przeczekać kilka tygodni, aż prawdziwego zbrodniarza wynajdą; dlatego też broniłem się, gdy mnie chciano uwięzić. Nikt przecież dobrowolnie zamordować się nie da, a mnie grozi morderstwo z rąk... sprawiedliwości! Ha ha! Morderstwo nikczemniejsze od innych. Gdy niewinny padnie z ręki zbrodniarza, prawo pomści śmierć jego, ale gdy niewinnego prawo zamorduje, kto za nim się ujmie? kto go pomści? Chyba tylko Bóg! Pamiętajcie to panowie!

— Nie potrzebne deklamacye. One mnie wcale nie wzruszają.

— Widzę to dobrze.

— A zatem nie przyznajesz się do niczego?

— Nie przyznaję.

— Mimo tego, na mocy zebranych dowodów, musisz być ukarany śmiercią.

— Nie ukarany śmiercią, jeno przez prawo zamordowany.

— Odprowadzić więźnia do kaźni! — krzyknął sędzia, uniesiony gniewem.

Wyprowadzono Eryka, w biurze nastało milczenie. Sędzia Maran był tak rozdrażniony, że mówić nie mógł; komisarz Haller natomiast lekko się uśmiechał.

Zapukano do drzwi, wszedł policyant i wręczył list Hallerowi.

— Komisarz czytał:

„Wielmożny Panie!

Donoszę, co znowu był ten młody i dopytywał się o Zofię. Prawdę mówiący, ja go nie widziałam, bo w mieście byłam, ale moja córeczka widziała go. Powiada, że mu źle z oczu patrzyło. Moja córka ma dopiero ósmy rok, ale mądra jest. Powiedziała mu, że Zofia już na tamtym świecie, że policya tu była. On się bardzo przeląkł i zaraz pogonił w świat.

Kłaniam się Wielmożnemu Panu z uszanowaniem.

Huberowa, Hechtengasse 4".

— Ferdi tam nie był, bo zamknięty, a więc był Eryk Gerlach — rzekł Maran.

— A w jakim celu? — zapytał Haller.

— Chciał się przekonać, co się stało po otruciu Zofii.

— Gerlach Zofii nie otruł, wuja nie zamordował, za to ręczę.

— Skonfrontujemy Gerlacha z tą dziewczyną — ona go przecież pozna.

— Ależ to dziecko! Wiemy z doświadczenia, że zeznania dzieci zwykle zawodzą. Wyobraźnia je unosi, lęk bałamuci. Niech się pan nie upiera przy swem posądzeniu; mogę rąbać się o to, że Eryk niewinny.

— Ja natomiast upieram się przy tem, że pański Fredi niewinny.

Rozmowa zaczęła przybierać znamiona sprzeczki; rozdrażnieni byli obaj, obaj też niezadowoleni z siebie.

— Czy wolno? — odezwał się głos jakiś i we drzwiach ukazał się agent Lindner.

Sędzia i komisarz spojrzeli na niego z prawdziwem zadowoleniem; każdy z nich spodziewał się w Lindnerze pozyskać sprzymierzeńca, pomocnika. Przywitali go też z niezwykłą uprzejmością i grzecznością.

— Jakże się panu powiodło? Kiedyż pan wrócił?

Zasypywali go pytaniami, a on odpowiadał spokojnie, przyczem wpatrywał się w twarz sędziego i komisarza. Coś tam na nich wyczytał, bo ożywił się i udając, że sobie dopiero teraz przypomniał sprawę bankiera Sandtnera, zapytał z ciekawością:

— Ale, ale, a cóż morderca Sandtnera, czy już ujęty?

— A tak — rzekł Haller — to ten urwisz drukarz Fredi.

— Ależ nie; to Eryk Gerlach, siostrzeniec Sandtnera — zawołał sędzia Maran.

— A więc dwóch morderców!—mruknął Lindner. Hm! hm! to dziwne!

XVIII.

I sędzia Maran i komisarz Haller kolejno opowiadali o przebiegu sprawy, a Lindner słuchał uważnie, milczący, skupiony, napozór jak głaz obojętny.

Obaj gromadzili argumenty na poparcie swych twierdzeń; sędzia Maran dowodził usilnie, że Gerlach jest zbrodniarzem, Haller przekonywał, że Fredi.

Skończyli opowiadanie, a Lindner jeszcze rozważał, jak zaklęty, wreszcie podniósł głowę, potarł czoło i odezwał się spokojnym, stanowczym głosem:

— Prawdziwy to dla mnie zaszczyt, że tak znamienici, wysocy urzędnicy raczą mnie obdarzać zaufaniem. Jestem za to wdzięczny, szczerze wdzięczny. Oczywiście odważjemnić się muszę tylko szczerością, a obawiam się, aby nią panów nie urazić.

Sędzia i komisarz spojrzeli na siebie z zadziwieniem.

— A tak, tak, nie chciałbym żadnego z panów urazić.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Z. Gaudnik.

Pierwsza z drugiej połową w lesie się znajduje,
A w znacznej ilości dobrze się rentuje.
Połowa drugiej z trzecią, to smutne mieszkanie
I nie zazdroszczę temu, kto zasłuży na nie.
Trzecia z drugą bywa rozmaitej treści,
Tak się po domach jak i sklepach mieści,
Całość jest to miasto w niewielkiej krainie,
Które z przemysłu i żyzności słynie.

Zagadka.

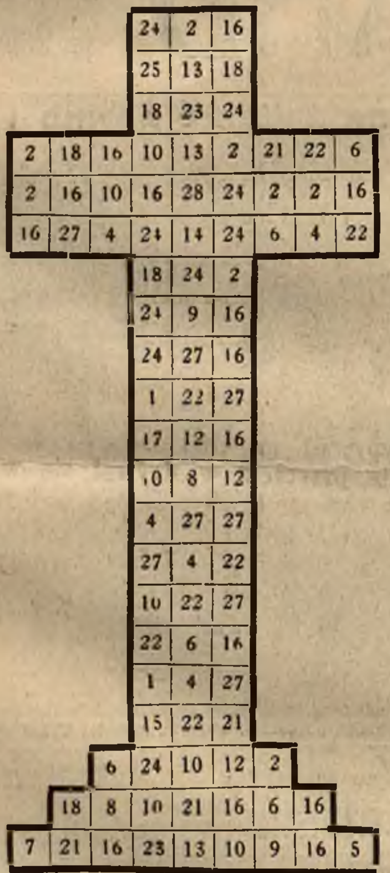
Z następujących zgłosek utworzyć słowa o literach początkowych tworzących, z góry na dół i końcowych z dołu do góry imię i nazwisko wybitnej współczesnej polskiej powieściopisarki: a, at, ba, ce, che, czów, e, e, go, i, kon, kry, lu, mek, mir, mo, ni, o, o, ol, re, rę, ro, san, son, stes, storz, stya, sy, ta, te, tia, try, usz, wa, wi, wicz, za, za, zi, zo.

Znaczenie wyrazów: 1. Imię żeńskie. 2. Miasteczko w Galicyi. 3. Rzeka we Włoszech. 4. Rezydencya panującego 5. Niedowiarek. 6. Bohater z wojny trojańskiej. 7. Części ciała. 8. Nazwisko poety polskiego z XVII. wieku. 9. Tytuł książęcy mahometański 10. Miasto w południowej Ameryce. 11. Część kościoła. 12. Władza duchowna 13. Zaimek. 14. Kwas siarczany. 15. Przydzielony urzędnik do poselstwa.

Arytmogryf.

Ułożył Włodzimierz Macherski, Częstochowa.

Cyfry zastąpić literami w ten sposób, by litery środkowe czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły znane przysłowie polskie.



Znaczenie wyrazów: 1. Owad. 2. Zwierzę domowe. 3. Zapytanie. 4. Osada w gub. Radomskiej, 5. Miasto w Hiszpanii. 6. Czyste duchy. 7. Ptak śpiewający w rodzaju drozdów. 8. Rodzaj poezyi. 9. Zaimek osobisty rodzaju żeńskiego. 10. Roślina pożyteczna. 11. Owad nocny. 12. Mocny trunek z Jamaiki. 13. Dopływ Dunaju. 14. Przeczenie. 15. Rzeka w Niemczech. 16. Imię żeńskie. 17. Ryba. 18. Kwiat wiosenny. 19. Miasto w Niemczech. 20. Zmarły rzeźbiarz polski. 21. Góra w Krymie.

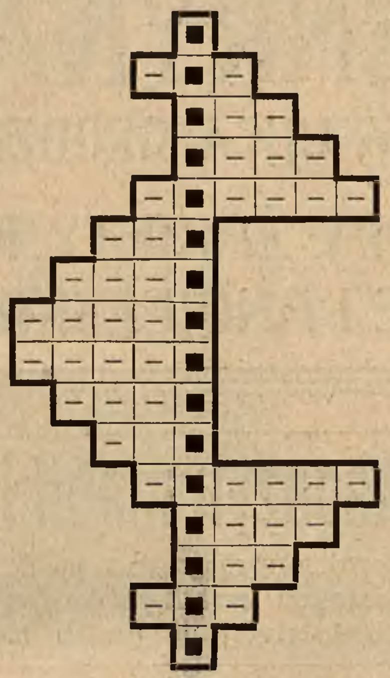
Zagadka.

Z poniżej podanych sylab utworzyć słowa tak, by początkowe litery tychże czytane z góry na dół, a końcowe z dołu do góry utworzyły nazwisko współczesnego pisarza polskiego: czter, czyk, dacz, dzi, dzie, dy, e, e, eu, gnac, gon, i, i, i, in, ko, le, na, pej, ra, rew, ro, san, ści, tu, us, wa, ze.

Znaczenie wyrazów: 1. Ryba. 2. Imię męskie. 3. Inaczej futerał. 4. Rzeka w Królestwie Polskiem. 5. Ozdoba szyi. 6. Imię męskie. 7 Mieszkaniec Europy. 8. Część pociągu. 9. Kraj w Azyi. 10. Liczebnik. 11 Jeden z bogów w Grecyi.

Logogryf

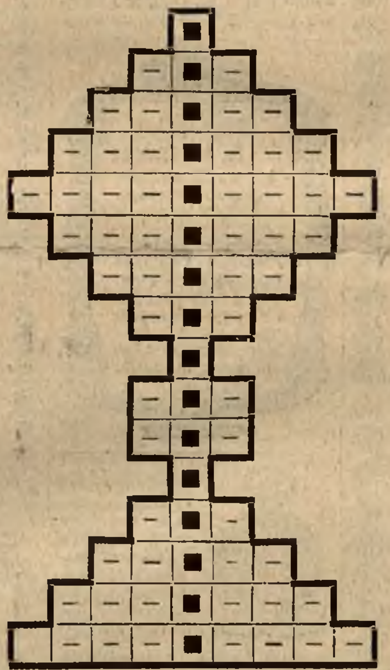
W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery w ten sposób, by litery wstawione w miejsce kwadratów czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko sławnego pianisty współczesnego.



Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2. Naczelnik turecki. 3. Część twarzy. 4. Część świata. 5. Konsul rzymski. 6. Inaczej niedobry. 7. Choroba dziecięca. 8. Wyspa na morzu Śródziemnem. 9. Inaczej żebrak. 10. Rzeka mitologiczna. 11. Miasto sławne w historyi Polski. 12. Dramat Wyspiańskiego. 13. Naczynie stołowe. 14. Zimowy przyrząd sportowy. 15. Miara angielska. 16. Samogłoska.

Logogryf.

Kwadraty i kreski zastąpić literami w ten sposób, by wstawione w miejsce kwadratów i czytane z góry na dół utworzyły imię i nazwisko sławnej współczesnej śpiewaczki włoskiej.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Roślina pożyteczna. 3. Poeta grecki. 4. Sekta w Ameryce. 5. Kraj we Włoszech. 6. Imię żeńskie. 7. Miasto w Grecyi. 8. Rodzaj głosu. 9. Spółgłoska. 10. Moneta włoska. 11. Zaimek. 12. Spółgłoska. 13. Zwierzę. 14. Miasto żydowskie w Galicyi. 15. Imię męskie. 16. Metal.

Zagadka

Ułożyła Kl. K.

Poniżej poodne wyrazy ustawić w ten sposób, by litery środkowe utworzyły wyrazy, obchodzące ludność Austryi ze względu uroczystości wiedeńskich: Atlas, Bar, bal, buk, cep, cud, Józef, legiony, lew, łzy, Nisko, rubin, targi, Ujejski, wieczór, Wisła.

Zagadka I.

Następujących 27 wyrazów ułożyć w takim porządku, aby ich drugie i czwarte litery czytane z góry na dół, utworzyły dwa przysłowia polskie.

Andzia, agawa, ambona, parsival, obłęd, Remigiusz, atak, stoicy, bajeczny, berło, krawiec, Edwin, ikona, świsłocz, Antiwari, korek, kurczęta, kars, górski, koryfeusz, hyacent, oset, etnografia, kanony Ujazdów, aprobata, delta,

Za rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy na nagrodę Tetmajera »Anioł śmierci«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 22.

Szarada.

Konstytucya trzeciego maja

Logogryf.

Tetmajer — Żeromski

Logogryf.

Andrzej Potocki — Platon Kostecki.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, W. Masiuk Dębniki, M. Grodzicka Dębniki, Z. Bukowski Złoczów, K. Fuchs Czeremchów, B. Ramułtowa Jeżów, A. Nikosiewiczowa Krzywe, S. Eckhardt Stanisławów, M. Gawecka Góra ropczycka, T. Pettesch Złoczów, M. Witkowska Łańcut, I. Wielgus Wadowice, E. Wieczorkowa Kraków, R. Głuszkiewicz Krakowiec, T. Telatycki Lwów, W. i J. Limanowskie Kraków, M. Radlmesserówna Swoszowice, K. Szymborski Warszawa, Z. Gaudnik Stary Sącz, M. Stachowicz Kraków, J. Rottermund Szaflary, S. Strycharzewski Chrzanówka, J. Zajączkowski Jabłonów, S. Bobowski Jasionów, Grabowska Barwałd, J Robak Kraków, A. Rotter Stanisławów, W. Stanula Samocice, K. Michalczewska Złoczów, A. Polończykowa Żywiec, A. Leska Lwów, W. Laskowski Warszawa, A. Bocsoń Bóbrka, K. Jurkiewicz Gwoździec, E. Bogdalska Koropuż, Ks. J. Mamak Harbutowice, J. Gomulińska Bóbrka, S. Seitel Budzanów, E. Zażolińska Olszanica, H Leligdowicz Fraga, K. Scholz Golcowa, Z. Ciechanowska Stary Sambor, M Opolska Czarny Dunajec, K. Jasiński Kraków, J. Boiuk Bełz, Ks. J. Dagnan Piwniczna. Kosińska Brzesko, A. Mussil Lwów. K. Schnitzel Tarnów, Kwapińska Równe, F. Niepokój Krosno. C Kozłowski Warszawa, K. Krysakowski Gorlice, L. Dąbrowski Lubatówka, Z. Turko Kraków.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymał przez losowanie p. Kajetan Szymborski z Warszawy. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki